

Zabobony

Dziś już ciężko powiedzieć, czy wszystko, w co ludzie w przeszłości wierzyli, to były same zabobony, czy też było w tym choć trochę prawdy i zdarzały się im rzeczy, w które trudno nam uwierzyć.

Moja mama pochodziła z Sihelnego, do Półgóry wyszła za męża. Dlatego w Sihelnem mieliśmy pole, które chodziliśmy obrabiać. Pewnego dnia mama jak zwykle zabrała nas, dzieci, ze sobą i szliśmy z nią przez górę, która nazywała się Chochołów. Skończyliśmy pracę pod wieczór. Wracaliśmy do domu tą samą drogą, którą przyszliśmy. Gdy weszliśmy na szczyt Chochołowa zapadał zmrok. Spotkaliśmy tam młodą kobietę, która szła w przeciwnym kierunku, z Półgóry do Sihelnego. Tam, na górze, zapytała moją mamę:

- Ciotko, słyszeliście, jak na dole w tym potoku płacze dziecko?

Podobno już wcześniej ktoś słyszał tam płaczące dziecko i od tego czasu każdy bał się przechodzić przez ten potok po ciemku. Trudno powiedzieć, czy to naprawdę płakało dziecko, czy w ciemności kwiliło jakieś leśne zwierzę, ale ludzie wierzyli, że jeśli ktoś tragicznie i przedwcześnie zszedł z tego świata, to długo nie mógł sobie znaleźć spokoju na wieczność i szukał dla siebie pomocy. Wystarczyło pomodlić się za jego duszę i było nieszczęśnikowi lżej. Dlatego my z mamą potem przez całą drogę do domu odmawialiśmy różaniec za zbawienie duszyczki nieszczęsnego płaczącego dzieciątka.

Dziadek też miał dziwną przygodę i często nam o niej wieczorami opowiadał. Mieli pole daleko, aż tam gdzie jest polana na końcu Rabczy - na Wahanowie. Pewnego roku, gdy w Wielki Czwartek dziadek wrócił z kościoła, poszedł zobaczyć, czy na tym polu leży jeszcze dużo śniegu i kiedy będzie można zacząć tam pracę. Jak zawsze, tak i tym razem, miał ze sobą różaniec, bo zawsze go nosił ze sobą. Wszedł na szczyt Wahanowa i zobaczył, że całkiem na górze pali się ognisko, a przy ognisku grzeje się jakiś mężczyzna. Dziadek ucieszył się, że też się przy nim ogrzeje i podszedł wprost do ogniska. Gdy jednak podszedł bliżej, przestraszył się. Chłop wytrzeszczył na niego oczy, a dziadek od razu spostrzegł, że jest jakiś dziwny, a jeszcze bardziej się przestraszył, gdy zobaczył, że nad ogniskiem suszą się przywiązane na sznurku pieniądze. Natychmiast domyślił się, że to jakiś diabeł a nie człowiek. Ten poprosił dziadka, żeby wyrzucił tę jedną rzecz, którą ma przy sobie, a on da mu wszystkie pieniądze, które suszą się nad ogniem. Dziadek jednak tak przeraził się tego czarta, że co tchu w piersiach pobiegł do domu i przez trzy dni nie mógł powiedzieć ani słowa. Dopiero po trzech dniach, w Wielkanocną Niedzielę, puściło go i mógł opowiedzieć, co przeżył na górze. Wtedy zrozumiał, że przed diabłem ochronił go różaniec, który miał przy sobie. Gdyby nie on, kto wie, co by diabeł z nim zrobił - może by go stamtąd porwał.

Każdy człowiek we wsi wierzył, że na św. Jana był dzień strzyg. Przed wschodem słońca strzygi odbierały krowom mleko. Nikt nie mógł ich zobaczyć, bo potem czary by nie działały. Bały się też zemsty gospodarzy, którym zabierały pożywienie, dlatego chodziły, kiedy było jeszcze ciemno. Mawiano też, że jako nagie

kobiety chodziły jeszcze po ciemku po polach i zbierały zioła. Inne czarownice zbierały znów rosę. Chodziły po polu ze szmatką, zbierały nią rosę z trawy i mówiły:

- Zabieram urodzaj, ale nie cały.

W ten sposób rzucały urok na krowę tego gazdy, na którego polu zbierały rosę. Gazdowie zaś znali czary przeciw strzygom. Do ochrony przed nimi używali czosnku i święconej soli, którą dawali zwierzętom. Również choroby leczono w taki sposób. Zawieszano na szyi wianek czosnku, który wyciągał z ciała wszystkie choroby, a przede wszystkim uroki, bo na lekarzy nie było pieniędzy. Na Babiej Górze na św. Jana otwierały się jaskinie ze skarbami, dlatego zawsze znalazło się dość śmiałków, którzy szli do lasu uzbrojeni w kilofy, łopaty i motyki pilnować, kiedy otworzą się groty pełne skarbów. W opowieści o skarbach wierzyli mieszkańcy wszystkich wsi pod Babią Górą i Pilskiem, a nie tylko ci, którzy mieszkali w Półgórze.

Opowiadano też o takim starym dziadku, który mógł rzucić na ludzi urok. Był jeden, który chodził mu kraść jabłka. Dziadek go zobaczył, ale złodzieja nie przegonił, tylko wymamrotał pod nosem:

- No, narwij sobie, narwij.

A kiedy, ten sobie narwał, to mu powiedział:

- No, jak sobie ukradłeś, to teraz sobie ładnie postoisz.

I ten nie mógł się z jabłkami ruszyć z miejsca, stał tam aż do samego wieczora, zanim go dziadek nie puścił.

Niektórzy ludzie mówili, że ci, którzy zajmowali się handlem mieli kupieckie oczy. Ponoć widzieli więcej niż inni. Albo na przykład: masz złego konia, który bije, kopie, nie da się do siebie zbliżyć, a przyjdzie chłop, chwyci go za uzdę i koń z nim idzie posłuszny jak baranek. Możecie też mieć nie wiem jak złego psa, a wejdzie w obejście jakiś człowiek i pies nawet nie warknie, tylko macha ogonem na powitanie.

Zdarzało się też tak, że gdy ludzie umierali nagle, to jeszcze długo po śmierci pokazywali się żyjącym, bo nie mogli zaznać spokoju. Stało się też tak w Półgórze. Poniżej drogi mieszkali Maricznikowie, którzy mieli piękną córkę. Zachodził do niej kawaler ze wsi. Niestety, ich sąsiedzi mieli syna, strasznie złego, gwałtownego, takiego dzikusa. Dużo handlował z Polakami, był bardzo skory do bójek, każdy się go bał i wołał omijać go łukiem, niż się z nim spotkać. Wyczyniał takie rzeczy, jakby go diabeł opętał. Najgorsze było to, że jemu też spodobała się ładna córka sąsiada. Pewnego razu końcem kwietnia chłopcy nocą stawiali mają. Tej dziewczynie też stawiali mają, zamówiony przez kawalera, który chciał się z nią ożenić. Ale sąsiad dzikus w zamieszaniu przy stawianiu mają tego kawalera zabił, rzucił go w jakąś dziurę na drodze, przykrył gałęziami, które chłopcy okrzęsali przy stawianiu mają i tam zostawił. Rano kierowca jechał autobusem i przejechał po martwym kawalerze, za co niesłusznie poszedł do więzienia, gdzie odsiedział pięć czy sześć lat. Potem była amnestia i niewinnego kierowcę wypuszczono. Ojciec jednak mówił, że zabity kawaler przez dziesięć lat o tej godzinie, o której stracił życie, wołał o pomoc. Gdy raz ojciec wyjeżdżał gdzieś w drogę swoim wozem, tak mu powiedziałam: - Szczęśliwej drogi i wesołego wywrotu.

Zamiast powrotu, bo chciałam być dowcipna. Gdy tylko ojciec wrócił skarcił mnie:

- Pięknie mi życzyłaś! Naprawdę się przewróciłem i gdy tak leżałem usłyszałem, że ktoś woła o pomoc. A było to dokładnie w tym miejscu, gdzie rzucono zabitego młodzieńca. Zanim ludzie mi pomogli, modliłem się za siebie i za niego, żeby wreszcie odnalazł pokój wieczny. Od tego czasu już nie było słychać głosu nieszczęsnego zabitego kawalera wołającego o pomoc.

strzyga – zła rusalka

maj – ludowy zwyczaj, przed domami panien wbijano okrzese z dolnych gałęzi świerki, jodły, czasem brzozy, najczęściej chłopak stawiał maj dziewczynie, z którą chciał się ożenić.



Dedina na hraniciach

Naša Polhora je najsevernejšou dedinou Slovenska, celkom pri hraniciach s Poľskom. V takých dedinách ako je naša, sa vždy žilo ťažko. Keď bol pokoj, vtedy sme nikoho nezaujímali. Pre panstvo v mestách sme boli len obyčajnou dedinou, kde líšky dávajú dobrú noc. Ničím sme sa nepreslávili, nesídlili tu grófi ani baróni, nebývali tu známe osobnosti, ľudia tu žili svojím obyčajným, každodenným pracovným životom, aký ľudia z mesta považujú za nudný, nezáživný. Do našej školy síce chodil Milo Urban, ale vtedy bol ešte chlapec a nikto netušil, že raz bude z neho slávny spisovateľ. Bol to chlapec z horárne, taký obyčajný, ako sme boli aj my ostatní. A keď sme boli deti, kto vtedy vedel, že aj takým gajdám sa ujde toľká sláva ako teraz? Nad gajdami lepší ľudia krčili nosom a muzika pri gajdách bola podľa nich vhodná len pre pastierov. Ale mladým stačili aj gajdy a skřipky, čiže husličky. Vytancovali sa pri nich do sýtosti.

To, že sa o obyčajnú dedinu panstvo málo staralo, bolo aj dobre. Ľudia si žili v pokoji, vyrušili ich občas iba panskí úradníci, keď prišli vyberať dane. Ale ak medzi panstvami vzniknú nejaké nepokoje alebo nedorozumenia, sú dediny na hraniciach prvé, ktoré pociťia, čo je to nepriateľ. Keď je pokoj, žijete v dobrom susedstve s dedinami za hranicou, ale ak niekto druhú stranu zbuntoší, zrazu sa z jedného dňa na druhý stanú z dobrých susedov najväčší nepriatelia. Či ide o krádeže, o pašu pre ovce, o kus lesa, či poľany. Takouto koncovou dedinou na hraniciach s Poľskom je naša Oravská Polhora pod Babou horou. Ale naša dedina bola vždy len Polhorou, iba od tých čias, čo z dediny ľudia odišli a založili ďalšie dve Polhory, museli sa tie Polhory od seba nejako rozlíšiť a tak našej Polhore pridali Oravská, pretože je na Orave.

Tak aj naša Polhora, naši Polhorčania veru neraz pociťili, čo to je, keď sa zvečera do rána stanú z priateľov nepriatelia. Keď v Živci panovali Komorovskí a na Orave Turzovci, mali tieto dve zemepanské rodiny medzi sebou veľké spory. Od krutého Komorovského utekali sedliaci za hranicu, najbližšie k nim bola Orava. Ale Komorovský svojím sedliakom neľavil, radšej sa na Turzovcov sťažoval na všetkých stranách. Keď nepochodil ani na cisárskom dvore, vtrhol do najbližšej dediny za hranicou svojho panstva, do Polhory. Odvliekol odtiaľ všetkých sedliakov na svoje panstvo, v dedine ostal iba šoltýs so sluhami. A keď aj neskôr nastali nejaké nepokoje, povstania či vojny**, na hranici sa zhromažďovali raz vojská, raz povstalci, vtedy Polhorčania trpeli raz pod jednými, raz pod druhými, lebo vojská boli rovnako kruté na oboch stranách. Raz ich znepokojovali hajdúsi, potom cisárski vojaci, labanci, či kuruci. Každé vojsko drancovalo, vynucovalo si služby, stravu, ubytovanie, páchalo násilie. Dedinčania pred nimi utekali do hôr, kde zahnali aj svoj dobytok, ale vojaci všetko našli. Tak bolo aj počas vojny s Turkami o Viedeň, keď sa oravskými dedinami prehnali vojaci poľského kráľa. Ostali po nich spustnuté dediny, Polhora ako prvá pociťila krutosť litovských vojakov. Načisto ju vydrancovali, čo sa dalo odohnať, odohnali, čo sa nedalo zobrať, podpálili.

Po dlhšom čase, keď bol na hraniciach pokoj a dedina sa trochu pozviechala, zas prišli dve vojny. Do tej prvej narukovali mládenci a muži v najlepších rokoch. To bolo plaču, lúčenia, celá dedina stála okolo kostola, kde sa spovedali otcovia

a synovia, odchádzajúci do vojny. Až osemdesiat ich našlo svoj hrob v cudzej zemi. Tí, čo sa vrátili, tešili sa, že prežili. Ale dedina na hraniciach ani po skončení vojny nemala pokoja. Rozniesli sa správy, že susedná krajina Poľsko si začalo robiť nároky na oravské dediny v pohraničí. Ale Polhorčania nechceli zmeny, chceli žiť tak ako doteraz.

Jednej noci znovu dedinu obsadzovalo cudzie vojsko. Celé noci hrmotali tanky a ťažké zbrane na ceste smerom k hraniciam. To Nemci pripravovali útok na Poľsko. A po piatich rokoch sa cez dedinu premleli vojaci všetkých národností: Slováci, Česi, Maďari, Rumuni, Nemci. Nemci pred odchodom dedinu celkom vyrabovali, ľudia nariekali, zúfali, nemali čo jesť, nemali zemiaky na sadenie, ani obilie na siatie. Odohnali aj kone a dobytok. Po nich prišli ruské vojská a čo nestačili zobrat Nemci, zobrali Rusi. Znovu len plač, násilie, bieda a hlad.

Od vojny sa už chvála Pánu Bohu dosť dlho tešíme z pokoja medzi nami ľudmi, aj medzi krajinami. Dediny aj ľudia sa vzťahujú, stavajú si pekné domy, deti chodia do škôl. Otvorili sa hranice a pomaly, opatrne sa začali obnovovať pretrhnuté vzťahy medzi ľudmi na oboch stranách hranice. Len keby ten pokoj medzi nami trval čím dlhšie, aby naše deti a vnúčatá nemuseli trpieť, ako trpeli naši otcovia, dedovia, naše matky a staré matky.

**V roku 2013 Slovenský cech gajdošov požiadal o zapísané gájd do kultúrneho dedičstva Slovenska. Oravská Polhora každý rok poriada kultúrne podujatie „Gajdovačku“, s medzinárodnou účasťou gajdošov*

***Napríklad kurucké povstania v 17. a 18. storočí v Uhorsku, sústreďovanie poľských vojsk na vojny s Turkami a podobne*

Wieś na granicy

Nasza Półgóra jest najbardziej na północ położoną wsią na Słowacji, tuż przy granicy z Polską. W takich wioskach jak nasza, zawsze żyło się ciężko. Gdy był pokój nikogo nie obchodziliśmy. Dla państwa w miastach byliśmy tylko zwykłą wsią, gdzie diabeł mówi dobranoc. Niczym się nie wstawiliśmy, nie mieli tu swoich siedzib hrabiowie ani baronowie, nie mieszkali znane osobistości, ludzie żyli tu swoim zwykłym, codziennym, pracowitym życiem, które ludzie z miasta uważają za nudne i nieciekawe. Co prawda, do naszej szkoły chodził Milo Urban, ale był wtedy jeszcze dzieckiem i nikt nie przeczuwał, że kiedyś zostanie sławnym pisarzem. Był to chłopiec z leśniczówki, taki sam, jak my wszyscy. Któż mógł wiedzieć, gdy byliśmy dziećmi, że na przykład gajdy będą takie sławne jak teraz? Ludzie, którzy uważali się za coś lepszego, kręcili nad gajdami nosem, a zabawa przy gajdach była ich zdaniem dobra tylko dla pasterzy. Młodemu jednak wystarczały gajdy i skrzypki. Tańczyli przy nich do utraty tchu.

To, że zwykła wioska mało obchodziła państwo, miało też swoje zalety. Ludzie żyli w spokoju, czasami tylko niepokoili ich urzędnicy, gdy przyjeżdżali ścigać podatki. Jednak zawsze, gdy między państwami pojawiają się jakieś

niepokoje lub nieporozumienia, to wioski leżące na granicy pierwsze dowiadują się co to znaczy wróg. Gdy panuje pokój, dobrze się żyje z sąsiednimi wioskami za granicą, ale jeśli zaczynają się swary między państwami, do których należą, to nagle z dnia na dzień z dobrych sąsiadów stają się najwięksi wrogowie. Nie ma znaczenia czy chodzi o kradzieże, o pastwiska dla owiec, o kawałek lasu, czy polany. Taką wioską na granicy z Polską jest nasza Orawska Półgóra pod Babią Górą. Półgóra od zawsze nazywała się tylko pod Babią Górą. Dopiero, gdy ludzie, którzy wyprowadzili się ze wsi, założyli dwie inne Półgóry, dodano do nazwy naszej Orawska, żeby je jakoś odróżnić.

Nasza Półgóra i jej mieszkańcy nie raz oczywiście czuli, co to znaczy, gdy nagle, w jednej chwili przyjaciele stają się wrogami. Gdy w Żywcu panowali Komorowscy, a na Orawie Turzonowie, to te dwa możliwe rody wiodły ze sobą wielkie spory. Od okrutnego Komorowskiego chłopci uciekali za granicę, a najbliższej mieli na Orawę. Komorowski jednak nie ulżył swoim chłopom, wolał uskarżać się na wszystkie strony na Turzonów. Gdy nic nie wskórał na cesarskim dworze, wtargnął do najbliższej wsi za granicą swojego państwa, czyli do Półgóry. Uprowadził stąd wszystkich chłopów na swoje włości, we wsi został tylko sołtys ze służącymi. Także później, gdy zaczęły się niepokoje, powstania oraz wojny**, na granicy gromadziły się na zmianę raz cesarskie wojska, raz powstańcy. Półgórzan cierpieli wtedy raz pod jednymi, raz pod drugimi, bo żołnierze po obu stronach byli równie okrutni. To niepokoili ich hajducy, to cesarscy żołnierze, muszkietierowie, to znów kuruce. Każde wojsko łupiło, zmuszało do usługiwania, żądało jedzenia, dachu nad głową, niosło przemoc. Wieśniacy uciekali przed nimi w góry, gdzie zaganiali też swoje bydło, ale żołnierze wszystko umieli znaleźć. Tak też było podczas wojny z Turkami o Wiedeń, gdy przez orawskie wioski ciągnęli żołnierze polskiego króla. Zostały po nich spustoszone wioski. Półgóra jako pierwsza poczuła okrucieństwo litewskich żołnierzy. Ograbili ją doszczętnie, co się dało zabrać - zabrali, a czego nie dało się wziąć - spalili.

Po dłuższym czasie, gdy na granicy panował pokój i wieś trochę się podźwignęła, znowu przyszły dwie wojny. Na tej pierwszej mężczyźni i chłopcy stracili swoje najlepsze lata. Ileż to było płaczu, pożegnań, cała wieś stała koło kościoła, gdzie spowiadali się ojcowie i synowie idący na wojnę. Aż osiemdziesięciu z nich zginęło na obcej ziemi. Ci, którzy wrócili, cieszyli się, że przeżyli. Jednak wioska na granicy nawet po skończeniu wojny nie zaznała spokoju. Rozeszły się wieści, że sąsiedni kraj, Polska, zaczął sobie rościć prawa do orawskich wiosek na pograniczu. Mieszkańcy Półgóry nie chcieli jednak zmian, chcieli żyć tak, jak żyli do tej pory.

Pewnej nocy do wsi znów weszło obce wojsko. Całą noc na drodze w kierunku granicy słyszeć było warkot czołgów i ciężkiej broni. To Niemcy przygotowywali atak na Polskę. W pięć lat później przez wioskę przewinęli się żołnierze wszystkich narodowości: Słowacy, Czesi, Węgrzy, Rumuni, Niemcy. Ci ostatni przed odjazdem doszczętnie obrabowali wioskę, ludzie lamentowali, rozpaczali, nie mieli co jeść, nie mieli ziemniaków do sadzenia, ani zboża do siania. Niemcy zabrali też konie i bydło. Po nich przyszły rosyjskie wojska i czego nie zdołali zabrać Niemcy, zabrali Rosjanie. Znowu tylko płacz, gwałt, bieda i głód.

Od zakończenia II wojny światowej już chwała Bogu dość długo cieszymy się pokojem między zwykłymi ludźmi i między krajami. Wsie i ich mieszkańcy mają się coraz lepiej, wyrastają piękne domy, dzieci chodzą do szkół. Otworzyły się granice i powoli ostrożnie zaczęły się odnawiać zerwane kontakty między ludźmi po obu stronach granicy. Oby tylko ten pokój między nami trwał jak najdłużej, by nasze dzieci i wnuki nie musiały cierpieć tak, jak cierpieli nasi ojcowie, dziadkowie, nasze matki i babcie.

**W 2013 roku Słowacki Cech Gajdoszy wystąpił o wpisanie kultury gajd na światową listę dziedzictwa niematerialnego UNESCO. W Orawskiej Polgórze co roku organizowane jest międzynarodowe wydarzenie kulturalne „Gajdovačka” z udziałem muzyków z różnych krajów.*

***dotyczy na przykład powstań kuruckich z XVII i XVIII wieku na Węgrzech, koncentracji polskich wojsk podczas wojny z Turkami.*

kuruce – powstańcy walczący z Habsburgami na przełomie XVII i XVIII w., wielu z nich było chłopami pańszczyźnianymi.

Škola a kostol

Dnes máme v Polhore všetko, čo treba: školu, kostol, poštu, obchody aj krčmy. Zdá sa nám, že tak to má byť a rozmýšľame, čo by sme ešte chceli mať v dedine. Myslíme si, že tak to bolo vždy, ale veru nebolo. Celých tristo rokov nemala naša dedina vlastnej školy ani kostola.

My Polhorci sme vždy mali ďaleko do kostola. Či do katolíckeho v Lokci, alebo potom do evanjelického v Námestove alebo v Zubrohlave, či do katolíckeho v Rabčiciach, ba aj do nového kostola v Rabči bolo ďaleko z vyšného konca. A keďže predtým boli školy len pri farách, aj deti z Polhory mali ďaleko do školy. Skúste si predstaviť, žeby vaše dieťa malo ísť tol'ké kilometre do Námestova, do Zubrohlavy alebo do Rabčíc! Neskôr fara a škola v Rabči už bola bližšie, ale malým deťom aj tam bolo ďaleko. Naši pradedovia veľmi nedbali ani o kostol, ani o školu.

Keď však kráľovná Mária Terézia* nariadila, že všetky deti musia chodiť do školy, aj Polhorci boli nútení sa zobudiť a svoje deti vystrojiť do školy v Rabči. Kým bolo v dedine menej detí, nikto si zo školy nerobil ťažkú hlavu. Uspokojili sa s tým, že deti občas poslali do farskej školy v Rabči. To trvalo viac ako sto rokov. Ale ľudia aj deti pribúdalo, pomaly už do rabčanskej školy chodilo viac detí z Polhory, ako z Rabče. V nedeľu po kostole neraz Rabčania častovali Polhorcov posmechom, že treba „nielen deti mať, ale sa o ne aj postarať“. To už celkom dopálilo richtára Jána Kabáča a presvedčil úrad, aby konečne po tristo rokoch postavili školu vo vlastnej dedine. Úradníci sa dosť vykrúcali, nezdalo sa im, že by sa dedina musela sama starať nielen o budovu, ale aj o vydržiavanie učiteľa. Veru dosť sa Jano Kabáč výborníkov napresviedčal aj s pomocou pána farára, kým sa uzniesli, že tú školu naozaj postavia. No škola nebola taká parádna, ako máme teraz, bola v nej jedna veľká trieda a byt pre učiteľa. A bola postavená na tom mieste, kde teraz máme náš obecny úrad.

Jedna vec bola školu postaviť, druhá vec zohnať do nej učiteľ'a. Doma sme rozprávali len goralsky, našej reči učiteľia z iných krajov nerozumeli. Len čo prišli do našej školy, poobzerali si skromný byt a vošli do triedy s deťmi, od ktorých nepočuli ani jedno slovo po slovensky, nieto ešte maďarsky, tak rýchlo ako prišli, hneď sa aj vypratali. Školská stolica musela presvedčiť múdrejšieho gazdu alebo mládenca, aby sa ujal úlohy učiteľ'a. Nakoniec sa na túto ťažkú úlohu podujal Ján Grobarčík, ale keď školská vrchnosť naliehala, že si musí urobiť aspoň skúšku dospelosti, aj on sa zo školy vytratil. Po ňom učil Jozef Jaššák. Ale ani Polhorčania sa za učiteľ'ov vo vlastnej dedine netrhali. Ak aj niektorý skončil preparandiu (učiteľ'ský ústav), radšej sa hlásil za učiteľ'a do inej dediny.

Po dlhšom čase, keď boli so školou neustále trampoty, prišla konečne do Polhory učiteľ'ská rodina, Kocúrkovci. To už bolo toľko detí, že museli byť zriadené dve triedy. V jednej učil manžel, v druhej manželka. Pani učiteľ'ka bola svojrázna osoba. Ona si nič nerobila z toho, že deťom nerozumela, po nejakom čase sa naučila presne toľko goralských slov, koľko potrebovala. Po svojom vyriešila aj vyučovanie maďarčiny. Aby vyhovel vrchnosti, ona aj s jej manžel si zmenili priezvisko, už viac neboli Kocúrkovci, ale Kišfalusiovci. A keď manžel musel narukovať do prvej svetovej vojny, pani učiteľ'ka vedela, že vrchnosť má iné starosti ako kontrolovať vyučovanie a zariadila sa zas po svojom. Všetkým žiakom pomáďarčila mená a priezviská, ktoré si museli krasopisne napísať na vrchnú stranu knihy a tým bola pre ňu výučba maďarčiny vyriešená. Netrápila deti zbytočnými vedomosťami, veď ako by bola stíhala popri svojich štyroch vyučovať aj polhorské deti, ktorých bolo už okolo stopäťdesiat. Ani z dochádzky do školy nerobila problémy. Bola vojna, väčší chlapi museli doma pomáhať namiesto narukovaných otcov a starších bratov. Sama vedela, ako je opustenej žene bez muža starať sa o rodinu, školu, aj hospodárstvo, hoci bolo nevel'ké. Zastupovať nemal kto, preto si nerobila ťažkú hlavu, keď chýbala aj polovica žiakov. Vlastne tak bolo lepšie.

V škole vraj vládla ako generál na vojne a deti nadšene plnili všetky jej nápady. Hlavne, keď namiesto toho, aby deťom vtíkala do hlavy maďarčinu a iné nepotrebné vedomosti, naučila ich štrikovať. Často sa stávalo, že deti namiesto vyučovania štrikovali to zápästky, rukavice, či ponožky, ktoré posielala na front, kde bojoval aj jej manžel. Zabila tým nie dve, ale niekoľko múch jednou ranou. Deti naučila užitočné ručné práce z ktorých mali radosť, v škole si zabezpečila poriadok, pomohla manželovi a iným vojakom na fronte a navyše, na úradoch bola zapísaná ako vzorná vlastenka.

Keď sa vojna skončila, skončili sa aj dobré školské časy. Kocúrkovci-Kišfalusiovci sa z Polhory odpratali, pretože mali učiť už len slovenskí učiteľia. Ale väčšinou sa v Polhore dialo to, čo aj pred vojnou. Len čo noví učiteľia prišli, otočili sa na päte a odišli. Škola bola v hroznom stave, budova poškodená a zariadenie úplne zničené. Horko-ťažko sa podujal na vyučovanie polhorských detí jeden sedliacky syn z Polhory. Vyučovalo sa s veľkými problémami. V novom štáte nebolo slovenských učiteľ'ov, slovenských učebníc, žiadnych učebných pomôcok. Kňazi, ktorí stále viedli cirkevné školy sa pýtali, či učiteľia majú učiť z českých učebníc dejepisu, keď sa v nich vychvaľuje len Ján Hus a o Slovensku tam niet žiadneho učiva.

Napriek ťažkostiam tu rok vydržala učiť učiteľka Kulčárová z Trstenej, ale po roku aj tá odišla.

Postupne sa dedina vzťahala, počet detí rástol, ale o školu sa stále dbalo málo. Učitelia si museli pomáhať, ako vedeli. V Polhore si na Gregora zaviedli školský deň. Naučili deti básničku, s ktorou chodili z domu do domu a vyberali pre učiteľa výslužku. Každý dal, čo mal doma: najčastejšie vajíčka, slaninu, maslo, mlieko. Peňazí nebolo, tie dávali len v bohatších domoch. Deti recitovali:

- Na svätého Gregora, neopúšťajte pána rektora, čo posielal žiakov medzi dobrých ľudí. A ty matko milá, daj nám svojho syna. Soli, soli, po poli, dajte žiacka do školy. Bude sa vám učiť, Pánu Bohu slúžiť. Niektorí väčší beťári dodali:

- Bude z neho dobrý kňaz, popod brehy svine pásť.

Veru, každý si pomáhal, ako vedel.

Podobne ako so školou bolo aj s kostolom. Keď za cirkevného kurátora Polhorčania zvolili Pavla Mularčíka, ten robil všetko pre to, aby sa konečne postavil aj kostol v Polhore. Bolo to osem rokov po skončení prvej vojny a o tri roky do nového kostolíka kúpili aj krížovú cestu. Bola to na tie časy, keď vo svete bola kríza, od Polhorčanov veľká vec. Kaplnku si postavili sami Polhorci a kúpili do nej aj prvý zvon v Polhore, ktorý ich konečne zvolával na bohoslužby a na Anjel Pána.

Terajšiu krásnu školu sme si postavili až za socializmu, aj škôlku a dokonca aj krásny nový kostol. Aj vlastnú farnosť sme konečne dostali a naše deti sa učia na vysokých školách po celom Slovensku aj v zahraničí. Konečne má naša dedina všetko, čo treba.

**V roku 1777 vydala Mária Terézia, cisárovná Rakúsko- Uhorska, Ratio educationis – školskú reformu, ktorou zaviedla aj na dedinách školy s jedným učiteľom, ktorý vyučoval tri predmety: čítať, písať, počítat' a náboženstvo*



Szkola i kościół

Dziś w Orawskiej Półgórze mamy wszystko, co trzeba: szkołę, kościół, pocztę, sklepy i gospody. Wydaje nam się, że tak powinno być, ale zastanawiamy się, co jeszcze chcielibyśmy mieć u nas na wsi. Myślimy, że tak było zawsze, ale oczywiście nie było. Całe trzysta lat nasza wieś nie miała własnej szkoły, ani kościoła.

My, półgórzanie, zawsze mieliśmy daleko do kościoła - czy to do katolickiego w Łokczy, czy potem do ewangelickiego w Namiestowie albo Żubrohławie, czy do katolickiego w Rabczycach, a nawet do nowego kościoła w Rabczy było daleko z górnego końca wsi. A ponieważ dawniej szkoły były tylko przy plebaniach, to dzieci z Półgóry miały daleko do szkoły. Spróbujcie sobie wyobrazić, że wasze dziecko miałoby iść tyle kilometrów do Namiestowa, do Żubrohławy, czy do Rabczyc! Później plebania i szkoła już były bliżej, bo w Rabczy, ale dla małych dzieci i to było daleko. Nasi pradziadkowie nie bardzo przejmowali się kościołem i szkołą.

Kiedy jednak cesarzowa Maria Teresa* zarządziła, że wszystkie dzieci muszą chodzić do szkoły, to nawet półgórzanie byli zmuszeni obudzić się i posłać swoje dzieci do szkoły w Rabczy. W wiosce było mało dzieci, więc wcześniej nikt sobie szkołą nie zawracał głowy. Wystarczyło im, że czasem posłali dzieci do szkółki parafialnej w Rabczy. Tak było jeszcze ze sto lat. Dorosłych i dzieci jednak przybywało, powoli do rabczańskiej szkoły chodziło już więcej dzieci z Półgóry niż z Rabczy. W niedzielę po kościele nieraz rabczanie wyśmiewali się z półgórzan, że „dzieci nie tylko trzeba mieć, ale jeszcze o nie zadbać”. To już do żywego ubodło sołtysa Jána Kabáča i przekonał radę wsi, żeby wreszcie po trzystu latach zbudowali własną szkołę. Radni trochę się wykręcali, nie podobało im się, że wioska będzie musiała sama nie tylko utrzymywać budynek, ale także nauczyciela. Na pewno Jano Kabáč musiał dość mocno radnych przekonywać, nawet z pomocą księdza proboszcza, zanim zdecydowali, że tę szkołę naprawdę zbudują. Szkoła nie była taka piękna, jak teraz, była w niej jedna duża klasa i mieszkanie dla nauczyciela. Została zbudowana w tym miejscu, gdzie teraz mamy urząd gminy.

Jedna rzecz, to zbudować szkołę, ale druga - znaleźć do niej nauczyciela. W domu rozmawialiśmy tylko po góralsku, nauczyciele z innych regionów nie rozumieli naszej mowy. Ledwie przyszli do naszej szkoły, pooglądali skromne mieszkanie, weszli do klasy z dziećmi, od których nie usłyszeli ani słowa po słowacku, nie mówiąc już o węgierskim, i odchodzili tak szybko jak przyszli. Inspektorat szkolnictwa musiał przekonać jakiegoś mądrzejszego gospodarza lub kawalera, żeby został nauczycielem. W końcu podjął się tego ciężkiego zadania Ján Grobarčík, ale ponieważ inspektorat nalegał, że musi przynajmniej zdać maturę, to i on ze szkoły odszedł. Po nim uczył Jozef Jaššák. Nawet półgórzanie nie rwali się, by zostać nauczycielami we własnej wsi. Gdy któryś kończył seminarium nauczycielskie, to raczej zgłaszał się do pracy w innej wiosce.

Po dłuższym czasie, gdy ze szkołą były same kłopoty, przyjechała wreszcie do Półgóry nauczycielska rodzina Kocúrków. Wtedy było już tyle dzieci, że musiały być dwie klasy. W jednej uczył mąż, w drugiej żona. Pani nauczycielka była

specyficzną osobą. Nic sobie z tego nie robiła, że nie rozumiała dzieci, po pewnym czasie nauczyła się tylko kiiku góralskich słów, tylu ile jej było potrzebne. Po swojemu rozwiązała naukę węgierskiego, by zadowolić władze ona i jej mąż zmienili nazwisko i już nie nazywali się Kocúrkowie, ale Kišfalusowie. Gdy mąż musiał iść na pierwszą wojnę światową, pani nauczycielka wiedziała, że władze mają inne problemy niż sprawdzanie nauczania i znowu zarządziła po swojemu. Wszystkim uczniom pozmieniała na węgierskie imiona i nazwiska, które musieli wykaligrafować na tytułowej stronie książki i w ten sposób nauczanie węgierskiego zostało przez nią zakończone. Nie dręczyła dzieci zbędnymi wiadomościami, przecież nie dałaby rady, mając czwórkę swoich, jeszcze uczyć półgórzańskich dzieci, których było już ze sto pięćdziesiąt. Nawet z uczęszczania do szkoły nie robiła problemów. Była wojna, więksi chłopcy musieli pomagać w domach zamiast zmobilizowanych ojców i starszych braci. Dobrze wiedziała, jak to jest, gdy kobieta musi sobie radzić sama i bez męża zadbać o rodzinę, szkołę i gospodarstwo, nawet jeśli było nieduże. Zastąpić jej nie miał kto, więc nie przejmowała się, gdy brakowało czasem nawet połowy uczniów. Właściwie tak było lepiej.

W szkole ponoć rządziła jak generał na wojnie, a dzieci z radością spełniały wszystkie jej pomysły. Zwłaszcza, gdy zamiast wciskania dzieciom w głowy węgierskiego i innych niepotrzebnych wiadomości, uczyła je robić na drutach. Często się zdarzało, że dzieci zamiast uczyć się robiły na drutach zarękawki, rękawice czy skarpety, które posyłała na front, gdzie walczył jej mąż. W ten sposób udało się jej upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. Dzieci nauczyła pożytecznych prac ręcznych, które je cieszyły. W szkole był porządek, pomogła mężowi i innym żołnierzom na froncie, a w dodatku w urzędach miała opinię wzorowej patriotki.

Gdy wojna się skończyła, skończyły się też dobre szkolne czasy. Kocúrkowie – Kišfalušowie wyprowadzili się Półgóry, ponieważ mieli uczyć już tylko słowaccy nauczyciele. Jednak w Półgórzu znowu zaczęło dziać się tak, jak przed wojną. Kiedy tylko nowi nauczyciele przyjeżdżali, obracali się na pięcie i odjeżdżali. Szkoła była w strasznym stanie, budynek był uszkodzony, a wyposażenie zupełnie zniszczone. Chcąc nie chcąc podjął się uczenia miejscowych dzieci pewien chłopski syn z Półgóry. Nauczanie przebiegało z wielkimi problemami. W nowym państwie nie było słowackich nauczycieli, słowackich podręczników, żadnych pomocy do nauczania. Księża, którzy prowadzili szkoły kościelne pytali, czy nauczyciele mają uczyć z czeskich podręczników do historii, które wychwalają Jan Husa, ale o Słowacji nie ma w nich ani słowa**. Pomimo problemów wytrzymała tu rok pani nauczycielka Kulčárová z Trzciany, ale po roku odeszła.

Wieś powoli się rozrastała, przybywało dzieci, ale o szkołę wciąż jeszcze mało dbano. Nauczyciele musieli sobie radzić, jak umieli. W Półgórzu na św. Grzegorza wprowadzono święto szkoły. Dzieci nauczyły się wierszyka, z którym chodziły od domu do domu i zbierały datki dla nauczyciela. Każdy dawał, co miał: najczęściej jajka, słoninę, masło, mleko. Pieniądzy nie było, te dawano tylko w bogatszych domach. Dzieci recytowały:

- Na świętego Grzegorza, nie opuszczajcie rektora, który uczniów posyła między

dobrych ludzi. A ty matko miła, daj nam swego syna. Soli, soli, po polu, dajcie żaczka do szkoły. Będzie się wam uczyć, panu Bogu służyć.

Niektóre większe łobuziaki dodawały:

- Będzie z niego dobry klecha, co nad rzeką świnie pasa.

Z pewnością każdy pomagał, jak umiał.

Podobnie jak ze szkołą było z kościołem. Kiedy na kuratora kościoła półgórzanie wybrali Pavla Mularčíka, ten robił wszystko, by wreszcie zbudować kościół w Półgórzu. Było to osiem lat po zakończeniu pierwszej wojny światowej, a po trzech latach kupili do nowego kościółka obrazy przedstawiające drogę krzyżową. W tamtych czasach, gdy na świecie panował Wielki Kryzys, był to dla półgórzan duży wydatek. Kapliczkę zbudowali sami półgórzanie i kupili do niej pierwszy dzwon, który ich wreszcie zwoływał na nabożeństwa i na Anioł Pański.

Obecną szkołę i przedszkole zbudowaliśmy dopiero za socjalizmu, a nawet piękny nowy kościół. W końcu otrzymaliśmy też własną parafię, a nasze dzieci studiują na uczelniach na całej Słowacji i za granicą. Wreszcie nasza wieś, ma wszystko, co trzeba.

**W 1777 r. cesarzowa Austro-Węgier Maria Teresa wprowadziła tzw. ratio educationis, na mocy tej reformy edukacyjnej powstawały również szkoły wiejskie, w których zatrudniany był jeden nauczyciel, uczący trzech przedmiotów: czytania i pisania, rachunków oraz religii.*

***W 1918 r. po raz pierwszy w historii Czesi i Słowacy stworzyli wspólne państwo Czechosłowację. Wcześniej Słowacja przez prawie tysiąc lat była częścią Królestwa Węgier. Słowacy w odróżnieniu od Czechów są w większości gorliwymi katolikami, a Jan Hus (czeski bohater narodowy) w tamtym czasie był jeszcze zdecydowanie potępiany przez Kościół katolicki.*

Šatka

Táto povest' je z čias, keď cisár František povýšil Bobrov na mesto a udelil im právo usporiadať štyri jarmoky do roka. To bolo po Námestove už druhé mesto neďaleko Polhory, kde sa každý rok konali jarmoky: štyri v Námestove a štyri v Bobrove. Každý, čo len trochu šikovný človek tam mohol predáť všetko, čo dokázal vyrobiť a zas nakúpiť tovar, potrebný do domácnosti i do gazdovstva. Okrem toho chodili Polhorčania na jarmoky aj do Jelesne a do Živca, pretože to mali z hornoravských dedín najbližšie.

Raz sa na jarmok do Bobrova vybral otec z Polhory. Do koncovej plachty zakrútil bal plátna čo natkala jeho žena a nádejal sa, že ak plátno dobre predá, nakúpi do domu všetko, čo mu žena nakázala. Aby sa aj syn priučil, ako sa treba jednať na jarmokoch a nepristať hneď na prvú ponuku, žena trvala na tom, aby ho otec zobral so sebou. Možno chcela zabrániť otcovi, aby sa nezastavil v niektorej krčme po ceste domov a časť z utržených grajciarov neprelial len tak nemilobohu dolu gágorom.

Otec so synom si pešo vykračovali dolu hradskou cestou z Polhory cez Rabču a potom aj cez Zubrohlavu. Otec sa tešil na dobrý zárobok a syn na zážitky z jarmoku, ktoré ho čakali a tiež dúfal, že otec mu predsa len kúpi nejaké jarmočné. Keď prešli

Zubrohlavu a odbočili na starú cestu do Bobrova, otec zbadal na ceste čosi pekné, posiate farebnými kvietkami.

- Nože synu, zdvihni to biele, čo je na zemi, povedal otec synovi. Ale syn sa nemal do toho, aby otca poslúchol.
- To bude len papier, po ten sa neoplatí zohýbať, odpovedal, aby sa nemusel zohnúť. Aj tak už bol z cesty dosť unavený.

Otec na to nepovedal nič, ale sám sa po tú vec zohol, aby sa pozrel, čo na tej hrboľatej ceste leží. Lebo cesty v tom čase neboli pekné hladké ako dnes, ale plné kamenia a jám, ktoré vymlela voda. A to, čo otec zdvihol, bola šatka olejka, s krásnymi ružami. Isto vypadla z voza niektorému plátenníkovi, lebo tí vozili na Oravu tovar skoro z celého sveta. Otec šatku zdvihol a vložil do batoha k plátnu.

Na jarmoku sa im dobre darilo, plátno, ktoré žena natkala, bolo krásne, jemné, bez uzlíkov a hladučké. Ved' sa s ním aj natrápila, najskôr ho bielila pri Polhoranke, potom pol dňa mangľovala na malom valčeku ručným mangľom. Len sa tak po ňom zaprášilo, kupci ho v rukách skúšali a pretekali sa, kto ho kúpi. Prihadzovali na cene a otec predal za takú cenu, o ktorej sa im doma ani neprisnilo. Keď plátno predal, rozmýšľal, čo s tou šatkou, čo našli na ceste. Priniesť ju domov žene, ktorá vedela tkať také krásne plátno, alebo ju predať na jarmoku? Nakoniec sa rozhodol, že predá aj tú šatku, ved' na žene ju mohol spoznať kupec, čo ju stratil. A veru bol rád, že sa tak rozhodol, lebo za tú šatku dostal skoro toľko, čo za celý bal plátna. Nakúpil všetko, čo bolo treba doma, synovi za šesťák bagľu od Trstenčanov aby zahnal hlad, sebe hriateho pod šiatrom a aby aj žene a deťom priniesol nejaké jarmočné, kúpil vrecko sliviek od akéhosi Poliaka, od Balcierákovcov zo Zubrohlavy perník, čo sa volal „sedem detí za grajciar“ a žene veľký srdcový medovník so zrkadielkom.

Keď takto pekne všetko na jarmoku vybavili, pobrali sa so synom domov. Slnko vysoko na nebi hrialo ako opreteky, až im pot tiekol cícerkom. Veru aj vysmädli, preto otec siahol do vrecka a vybral si jednu slivku, aby zahnal smäd. Videl to syn a ozval sa:

- Otec, mne nedáš? Aj ja som smädný.

Otec si spomenul, ako syn odmietol zdvihnúť šatku a rozhodol sa, že mu dá ponaučenie. Slivku mu nepodal, ale hodil ju na zem, akoby mu náhodou spadla. Syn ju musel zdvihnúť, utrieť a tak zjesť. Cesta do Polhory bola dlhá, smäd veľký a tak tých spadnutých sliviek bolo viac. Keď nakoniec prišli domov do Polhory, radosť rodiny bola veľká. Iba syn žaloval materi na otca, ktorý mu nepodal ani jednu slivku, ale každú musel zbierať a jesť len zo zeme. Otec sa len usmial a syna poučil:

- Vidíš, synku, keby si sa bol len jeden raz zohol po tú šatku, bol by si ju predal ty a všetky slivky by boli tvoje, nemusel by si sa pre ne zohýbať toľkokrát, koľkokrát ťa dohnal smäd. Veru, lenivosť je planá cnosť.



Chustka

Jest to opowieść z czasów, gdy cesarz Franciszek nadał Bobrowowi prawa miejskie oraz prawo organizowania czterech jarmarków w roku. Było to już drugie, po Namiestowie, miasto leżące niedaleko Półgóry, w którym każdego roku odbywały się jarmarki: cztery w Namiestowie i cztery w Bobrowie. Każdy, choć trochę obrotniejszy człowiek, mógł na nich sprzedawać wszystko, co potrafił wyprodukować, a kupić mógł rzeczy potrzebne do domu i do gospodarstwa. Półgórzanie chodzili też na jarmarki do Jeleśni i do Żywca, bo tam mieli z górnoorawskich wiosek najbliżej.

Raz wybrał się na jarmark do Bobrowa pewien ojciec z Półgóry. Zawinął w płachtę belę płótna, które utkała jego żona, i miał nadzieję, że jak uda się płótno dobrze sprzedać, to kupi do domu wszystko, co mu żona kazała. Żona nalegała, by wziął ze sobą syna, by ten nauczył się, jak należy targować się na jarmarkach i że nie można przyjmować pierwszej oferty. Może chciała też zapobiec temu, by ojciec zatrzymał się w jakiejś karczmie po drodze do domu i nie wydał niepotrzebnie części utargowanych grajcarów na alkohol.

Ojciec z synem na piechotę maszerowali w dół zamkową drogą z Półgóry przez Rabczę, a potem przez Żubrohławę. Ojciec liczył na dobry zarobek, a syn był ciekaw wrażeń z jarmarku i miał nadzieję, że ojciec mu coś kupi. Gdy przyszedli do Żubrohławy i skręcili w starą drogę do Bobrowa, ojciec zobaczył na drodze coś ładnego, usianego kolorowymi kwiatkami.

- Ejże, synu, podnieś to białe, co leży na ziemi - powiedział ojciec do syna, ale syn nie chciał ojca słuchać.

- To jakiś papier, nie opłaca się po niego schylać - odpowiedział chłopiec, który był już dość zmęczony drogą.

Ojciec nic na to nie powiedział, ale sam schylił się po tę rzecz, by przekonać się, co też leży na wyboistej drodze. Drogi w tamtych czasach nie były takie ładne i gładkie jak teraz, ale pełne kamieni oraz dziur, które wymyła woda. To, co ojciec podniósł, było chustką tzw. olejka z pięknymi różami. Na pewno spadła ona z wozu któremuś płóciennikowi, bo zwozili oni na Orawę towary niemal z całego świata. Ojciec podniósł chustkę i włożył do płachty z płótnem.

Na jarmarku dobrze im szło. Płótno, które utkała żona, było piękne, delikatne, gładziuteńkie i bez węzełków. Tyle się przy nim przecież namęczyła, najpierw bielila je nad Półgórzanką, potem pół dnia maglowała na małym wałeczku ręcznym maglem. Sprzedało się w mgnieniu oka. Kupcy je pomacali i prześcigali się w tym, kto je kupi. Podbijali cenę, więc ojciec sprzedał je za takie pieniądze o których im się w domu nawet nie śniło. Gdy sprzedał płótno, zastanawiał się, co zrobić z tą chustką, którą znaleźli na drodze. Przynieść ją do domu żonie, która umiała tkać takie piękne płótno, czy sprzedać na jarmarku? W końcu postanowił że sprzeda również tę chustkę, bo na żonie mógłby ją rozpoznać kupiec, który ją zgubił. Na pewno był zadowolony, że tak zdecydował, bo za chustkę dostał prawie tyle, co za całą belę płótna. Kupił wszystko, co było trzeba do domu, synowi za szóstaka bajgiel od piekarzy z Trzciany, żeby nie był głodny, sobie grzańca pod namiotem, a żeby

żonie i dzieciom przynieść coś z jarmarku, kupił woreczek śliwek od jakiegoś Polaka, a od Balcieraków z Żubrohlawy piernik, który nazywał się „siedem dzieci za grajcara” i wielkie piernikowe serce z lusterkiem dla żony.

Gdy tak ładnie wszystko na jarmarku pozałatwiali, ruszyli z synem do domu. Słońce wysoko na niebie prażyło, aż pot z nich lał się ciurkiem. Oczywiście chciało się im pić, więc ojciec sięgnął do worka i wyjął jedną śliwkę, by ugasić pragnienie. Zobaczył to syn i mówi:

- Tato, a mnie nie dasz? Chce mi się pić

Ojciec przypomniał sobie, jak synowi nie chciało się podnieść chustki i postanowił mu dać nauczkę. Nie dał mu śliwki, ale rzucił ją na ziemię, że niby mu przypadkiem spadła. Syn musiał ją podnieść, wytrzeć i dopiero zjeść. Droga do Półgóry była długa, bardzo chciało się pić, więc tych śliwek, które spadły było więcej. Gdy w końcu przyszli do domu do Półgóry, rodzina ogromnie się ucieszyła. Tylko syn żalił się matce na ojca, że nie podał mu żadnej śliwki, wszystkie musiał podnosić i jeść z ziemi. Ojciec uśmiechnął się i powiedział do syna:

- Widzisz, synku, gdybyś się ten jeden raz schylił po chustkę, co leżała na drodze, to sprzedałbyś ją sobie na jarmarku i wszystkie śliwki byłyby twoje, nie musiałbyś się po nie schylać tyle razy, ile razy chciało ci się pić. Lenistwo naprawdę nie jest dobrą cechą.



Zbojníci

Pralesy pod Babou horou boli vždy dobrými skryšami zbojníkov. Jaskyne, do ktorých sa každý bál vstúpiť, boli opradené všelijakými strašidelnými príbehmi, ktoré rozširovali samí zbojníci, aby ich ulúpené poklady boli v bezpečí. Spoza Pilska a Babej hory prichádzali na Oravu celé skupiny zbojníkov, aby tu lupili, zbíjali na lesných priechodoch bohatých kupcov, ale keď nebolo bohatých, neštítali sa ukradnúť v Polhore či v Rabčiciach rodine aj poslednú kravu.

Lenže niekedy ani samotní Polhorčania neboli o nič lepší. Niektorí sa pridávali k zbojníckym skupinám, iní zas kradli za hranicou a keď im hrozilo, že ich chytia, prešli za hranicu panstva, kde za nimi pandúri nemohli a boli v bezpečí. Nie vždy sa Polhorčania dobrovoľne pridávali k zbojníkom. Ak pásli na salaši, na ktorý prišli zbojníci, vybrali si najkrajšiu ovcu, ktorú im bača musel upiecť a k tomu im ukrojiť poriadny kus syra, uliať žinčice, takého baču buď presvedčili, aby sa pridali k nim, alebo ho zabili, aby ich nevyzradil. Čo mal chudák bača robiť? Aby neprišiel o život, pridali sa k zbojníkom. Ale ak si myslel, že ho smrť obíde, prerátal sa. Zbojníkov čakal krátky život. Keď ich zlapali, ťažko ich mučili aby vyzradili všetko, čo vedeli a nakoniec ich na výstrahu повеšali na šibenice. Na ich popravy sa museli prizeráť celé dediny.

Napriek tomu, že ľudia vedeli, čo zbojníkov čaká, predsa sa vždy našli niektorí, ktorí sa dávali na zboj. Nie ťažkou prácou, ale ľahkým životom, zbojníctvom, sa chceli dostať k majetkom. Tak aj Ján z Polhory. Nevedno, čo ho viedlo k tomu, aby sa dal na zboj. Keď sa mu podarilo niekoľko drobnejších a potom aj väčších krádeží, na ktoré nikto neprišiel, dostal odvalu na veľkú lúpež, z ktorej by si mohol dlho a bez trestu žiť v blahobyte. Nahovoril kamaráta, aby sa vlámali do rabčianskeho kostola. Do toho kostola, do ktorého sa chodili modliť každú nedeľu! Lenže okrem modlenia Jánovi udreli do očí krásne, zlaté predmety, ktoré sa tu nachádzali. Keď sa vrátil domov, nemohol myslieť na nič iné, len na to bohatstvo, na tie krásne a ligotavé veci, ktoré tam ležia len tak, podľa neho celkom bez účitu. Veru, modlenie mu celkom vyfučalo z hlavy.

Jednej májovej noci sa s kamarátom rozhodli. Do kostola sa dostali dosť ľahko. Keď vylúpili kostolné pokladničky, pustili sa do vylamovania svätostánku, kde sa nachádzali tie najkrajšie a najdrahšie veci. Všetko, čo podľa nich malo cenu a čo sa im podarilo ukoristiť, si ukladali do sakristie na jeden stôl. Ale keď už nebolo čo lupiť, prišli do sakristie a bolo to asi riadením božím, že nemali so sebou nič, v čom by si lup mohli odniesť. A bolo toho veľa, kalichy, svietniky a rôzne nádoby. Jánovi napadlo, že neďaleko od kostola sa nachádza obchod Gazdíkovcov, rovno na križovatke do Sihelného. Vybral sa teda do obchodu v nádeji, že Gazdíkovci nebude čudné, prečo v noci kupujú vrecia. Gazdík bol obchodník, ktorý sa zbytočne nevypytoval. Nočnému návštevníkovi vrecia predal a v pokoji sa vybral spať. Ale nie jeho žena.

- Kto to bol? – vypytovala sa muža, keď sa ten znovu ukladal do postele.
- Ale, Jano z Polhory – odpovedal Gazdík.

- A čo chcel kupovať v túto nočnú hodinu? Čo nedá pokoj ani v noci– nedala žena pokoj.
- Dve vrecia.
- Dve vrecia? Teraz? V noci a v máji? Zemiaky sa ešte nekopú, úroda sa ešte nezbera, to veru nebude v poriadku, pomyslela si žena.

Spomenula si, čo všetko sa o Jánovi v dedine povráva a veru viac nemala v posteli pokoja. Len tak ako bola, v košeli, zahodila si na seba odievačku a utekala sa pozrieť, kde sa ten s tými vrecami poberá. A keď zbadala, že mieri do kostola, viac jej nebolo treba. Spustila taký krik, že zobudila nielen muža, ktorý už zaspával, ale aj susedov, hoci tí bývali trochu ďalej od kostola.

Gazdíčka nielenže pobudila všetkých naokolo, ale naplašila aj lúpežníkov. Tí nechali všetko tak, ako bolo a zo sakristie utiekli do lesa nad dedinou, kde sa skrývali. Jano vedel, že Gazdík pozná, kto bol uňho kupovať vrecia a tak sa po troch dňoch radšej sám prišiel prihlásiť na četnícku stanicu a svoj trest si odsedel vo väznici.



Zbójnicy

Puszcza pod Babią Górą zawsze była dobrą kryjówką dla zbójników. Jaskinie, do których każdy bał się wchodzić, były owiane różnymi opowieściami o straszylach, które rozpowiadali sami zbójnicy, by ich zrabowane skarby były bezpieczne. Zza Pilska i Babiej Góry przychodziły na Orawę liczne bandy zbójników, by tu łupić i zabijać na leśnych traktach bogatych kupców, ale kiedy nie było bogatych, to potrafili ukraść rodzinie w Półgórze czy w Rabczycach nawet ostatnią krowę.

Czasami sami półgórzanie nie byli wcale lepsi. Niektórzy dołączali do zbójnickich band, inni znów kradli za granicą, a gdy im groziło, że ich złapią, przechodzili za granicę państwa, gdzie strażnikom nie wolno było się zapuszczać, więc byli bezpieczni. Półgórzanie nie zawsze dobrowolnie przyłączali się do zbójników. Gdy paśli owce w górach, a przyszedli do nich zbójnicy, to wybierali sobie najlepszą owcę, którą baca musiał im upiec, a do tego ukroić porządną kawał sera i nalać żętycy. Potem taki baca, albo dawał się namówić, żeby do nich dołączył, albo go zabijali, żeby ich nie zdradził. Co miał biedak robić? By nie stracić życia dołączał do zbójników. Jeśli jednak myślał, że go śmierć ominie, to mógł się przeliczyć. Zbójnicy mieli krótkie życie. Gdy ich złapano, brano ich na ciężkie tortury, by zdradzili wszystko co wiedzą, a na koniec, innym ku przestrodze, wieszano na szubienicy. Na takie egzekucje musiały patrzeć całe wioski.

Mimo że, ludzie wiedzieli, co czeka zbójników, to przecież zawsze znaleźli się tacy, którzy zaczęli zbójnować. Nie ciężką pracą, ale lekkim życiem, zbójnictwem, chcieli zdobyć majątek. Tak, jak Ján z Półgóry. Nie wiadomo, co go skłoniło do tego, by wszedł na zbójnicką ścieżkę. Kiedy mu się udało kilka drobniejszych, a potem większych kradzieży, których nikt nie odkrył, nabrał odwagi na wielki napad, który pozwoliłby mu długo i bezkarnie żyć w dostatku. Namówił kolegę, by się włamali do rabczańskiego kościoła. Do tego kościoła, do którego chodzili się modlić w każdą niedzielę! Tyle, że Jánowi wpadły w oczy piękne złote przedmioty, które w nim były. Gdy wrócili do domu, nie mógł myśleć o niczym innym, niż tylko o tym bogactwie, o tych pięknych błyszczących przedmiotach, które leżą sobie tam zupełnie bezużyteczne. Modlitwa, rzecz jasna, całkiem mu wywietrzała z głowy.

Pewnej majowej nocy zdecydowali się. Do kościoła weszli dość łatwo. Gdy porozbijali kościelne skarbonki, zaczęli wyłamywać tabernakulum, w którym znajdowały się te najpiękniejsze i najdroższe rzeczy. Wszystko, co ich zdaniem miało wartość i co udało się im zrabować, układali na stole w zakrystii. Gdy już nie było co rabować, przyszedli znów do zakrystii i, co było chyba zrządzeniem bożym, stwierdzili, że nie wzięli ze sobą niczego, w czym mogliby wynieść łupy. A sporo tego było: kielichy, świeczniki i różne naczynia. Jánowi przyszło do głowy, że niedaleko kościoła jest sklep Gazdików, dokładnie na skrzyżowaniu do Sihelnego. Wybrał się więc do niego w nadziei, że Gazdík nie będzie się dziwił, po co w nocy kupuje worki. Gazdík był sklepikarzem, który nie zadawał zbędnych pytań. Sprzedał worki nocnemu gościowi i spokojnie poszedł spać, ale nie jego żona.

- Kto to był? – wypytywała męża, gdy kładł się z powrotem do łóżka.
- No, Jano z Półgóry – odpowiedział Gazdík.
- A co chciał kupić teraz w nocy? Czemu nie da nam spokoju nawet w nocy? – żona nie odpuszczała.
- Dwa worki.
- Dwa worki? Teraz? W nocy i w maju? - Ziemniaków się jeszcze nie kopie, plonów się jeszcze nie zbiera, to na pewno jest coś nie w porządku - pomyślała sobie żona.

Przypomniała sobie wszystko, co o Jánie mówiono we wsi i nie mogła spokojnie uleżeć w łóżku. Tak jak była, w koszuli, zarzuciła tylko na siebie odzieżawczkę i pobiegła zobaczyć, gdzież ten Jano wybiera się z workami. Gdy zobaczyła, że zmierza do kościoła, więcej jej nie było trzeba. Zaczęła tak krzyczeć, że obudziła nie tylko męża, ale i sąsiadów, chociaż mieszkali nieco dalej od kościoła.

Gazdzinka nie tylko pobudziła wszystkich dookoła, ale przepłoszyła rabusi. Ci zostawili wszystko tak, jak było, i uciekli z zakrystii do lasu za wsią, gdzie się ukryli. Jano wiedział, że Gazdík pozna, kto u niego kupował worki, więc po trzech dniach wołał sam się zgłosić na posterunek żandarmów i odsiedzieć swoją karę w więzieniu.

Polhorské priehrady

V Malej Babej hore pramení rieka, ktorá z vrchov nesteká pomaly, ticho si zurčiac po kamienkoch ako spevavý potôčik, ale keď naberie na seba všetko, čo pri dažďoch spadne z neba a stečie do jej koryta, stane sa z nej hučiacia riava, ktorú je počuť doďaleka. Preto si ju Polhorčania pomenovali Hlásnou riekou.

Hukot jej vôd sa hlasno odrážal od úbočí. A keď jej tok prerušili na Borsučom hrádzou, ktorú nazvali Tajchom, vznikla na tom mieste menšia priehrada. No a keď nazbieranú vodu z priehrady vypustili, to bol priam hukot, čo robila voda, valiaca sa do doliny. Priehrada na Borsučom dostala názov Dolný tajch. Preto dolný, lebo nad ním, na rieke Polhoranke, ktorej prítoky pramienia v Modralovej, Oravské panstvo dalo postaviť druhú hrádzu, nazvanú Vyšný tajch. A za ňou vznikla ďalšia priehrada.

Oravské panstvo malo na vybudovanie dvoch priehrad dobrý dôvod. V okolí Babej hory boli samé pralesy, v nich množstvo dreva, ktoré sa dalo speňažiť. Ale z nedostupných hôr dostať taký storočný strom do doliny bolo spojené s veľkými ťažkosťami, niekedy to bolo aj celkom nemožné. Páni dali hlavy dokopy a keď si dobre obhliadli kopce, zistili, že najlepšie by bolo dopraviť drevo z vrchu do doliny vodnou cestou. Ale čo, keď vody bolo na jar priveľa, ale v lete a podjeseň pomenej a nemala takú silu, aby drevo do doliny doplavila. Preto postavili dve hrádze na zadržanie vody. A keď sa vody v priehradách nazbieralo toľko, že jej bolo dosť, aby dokázala uniesť aj tie najväčšie stromy, hrádze sa otvorili a pripravené drevo na brehoch rieky sa splavilo až na panskú pílu powyše Polhory. Tam bola vybudovaná ďalšia, priepustná hrádza, nazvaná „hrable“, v ktorej sa splavované drevo zachytilo a potom sa na píle rezalo na dosky.

Drevo spod Babej hory si veľmi cenili stavebníci, pretože bolo tvrdé, pevné a krovy z neho vydržali oveľa dlhšie, ako krovy z iného dreva.

Tajchy dlho slúžili drevorubačom na splavovanie dreva. Až raz pri povodni, keď sa po úbočiach Babej hory valilo nebývalé množstvo vody, hrádza na Vyšnom tajchu nevydržala a povolila. Korytom Polhoranky sa zrazu valilo toľko vody, že zatopila na vyšnom konci Polhory domy, pobrala aj statok, a dokonca aj ľudské životy.

Tajch na Borsučom vydržal až do dnešných čias ako pamiatka na časy, keď sa celé okolité dediny živili drevorubačstvom, splavovaním a pílením dreva. Ale z Vyšného tajchu nám ostali na pamiatku len zvyšky hrubých klád na jeho bokoch.

Voda z vypustených tajchov robila veľké škody dedinám, ktoré mali okolo Polhoranky svoje polia. Spôsobovalo ich splavovanie dreva Polhorankou až do Slanice, potom Oravou do Tvrdošína, pod Oravský hrad, či do Kraľovian.

Nebezpečnou sa stala aj stará cesta, ktorou chodili kupci do Poľska. Neďaleko panskej horárne na Borsučom sa obe rieky spájali. A keď sa stalo, že sa vody z oboch vypustených priehrad spojili, to bola pre cestujúcich hotová pohroma. Nemohli pokračovať v ceste, museli čakať, až vody opadnú, lebo im hrozilo, že sa utopia. Za starých čias vraj viedla obchodná cesta do Poľska dolinou Polhoranky až do sedla Martoša.

Preto pod panskou pílou vznikla nová cesta s odbočkou do sedla Hliny a tak je to až doteraz.

Jazy w Półgórze

Z Małej Babej Góry wypływa rzeka, która nie spływa z gór powoli, cicho, szemrząc po kamykach jak śpiewający strumyczek, ale kiedy przyjmie wszystko, co podczas deszczu spadnie z nieba i ścieknie do jej koryta, staje się huczącymi masami wody, które słycać z daleka. Dlatego półgórzanie nazwali ją Głośną Rzeką.

Huk jej wody głośno odbijał się od górskich zboczy. Kiedy nurt rzeki przegrodzono zaporą na Borsuczem, którą nazywano Tajch, powstał w tym miejscu mniejszy jaz. Gdy spuszczano z niego zebraną wodę, to łoskot walącej wody docierał aż w doliny. Jaz na Borsuczem nazwano Dolnym Tajchem. Dlatego Dolnym, że nad nim, na rzece Półgórzance, której dopływy mają swoje źródła na Mędralowej, państwo orawskie kazało zbudować drugą zaporę, nazywaną Wyżnym Tajchem. Za nią powstał kolejny jaz.

Państwo orawskie miało ważne powody, by zbudować te dwa jazy. W pobliżu Babej Góry rosły same lasy, a w nich mnóstwo drewna, które można było sprzedać. Jednak ściągnięcie takiego stuletniego drzewa z niedostępnych gór w doliny było bardzo trudne, a czasami wręcz niemożliwe. Panowie z Komposesoratu Orawskiego zaczęli się wspólnie zastanawiać i kiedy dobrze pooglądali góry, stwierdzili, że najlepiej byłoby transportować drewno z gór w doliny wodą. Jak to jednak zrobić, gdy na wiosnę jest jej za dużo, a latem i wczesną jesienią zbyt mało, by miała siłę spławiać drewno? Zbudowali więc dwa jazy, by zatrzymywały wodę. Gdy wody w zbiorniku zebrało się tyle, że wystarczało jej, by uniosła nawet największe drzewa,

otwierano śluzy i drewno przygotowane na brzegach rzeki spławiano aż do pańskiego tartaku powyżej Półgóry. Była tam zbudowana kolejna przegroda, nazywana „jaśle” zatrzymująca spławiane drewno, które potem cięto w tartaku na deski.

Drewno spod Babiej Góry było bardzo cenione przez budowniczych, ponieważ było twarde, mocne, a wykonane z niego konstrukcje dachu wytrzymywały o wiele dłużej, niż więźby z innego drewna.

Jazy długo służyły drwalom do spławiania drewna. Niestety, kiedyś podczas powodzi, gdy ze stoków Babiej Góry rwały niebywałe masy wody, śluza na Wyżnym Tajchu nie wytrzymała i puściła. Korytem Półgórzanki popłynęło tyle wody, że zatopiła domy na górnym końcu Półgóry, zabrała też dobytek, a nawet ludzkie życia.

Jaz na Borsuczem istnieje do dzisiaj czasów i jest pamiątką czasów, gdy całe okoliczne wsie żyły ze ścinania drzew, spławiania i cięcia drewna. Z Wyżnego Tajchu zostały tylko resztki grubych kłód na jego brzegach.

Woda ze spuszczanych jazów wyrządzała wielkie szkody we wsiach, których pola leżały nad Półgórzanką. Tą rzeką drewno spławiano aż do Slanicy, potem Orawą do Twardoszyna, pod Zamek Orawski lub do Królowan.

Podczas spuszczania jazów niebezpieczna stawała się też stara droga, którą kupcy jeździli do Polski. Gdy zdarzało się tak, że wody z obu spuszczonych jazów łączyły się, to dla podróżujących nią oznaczało to potop. Najniebezpieczniejsze było miejsce niedaleko pańskiej leśniczówki na Borsuczem, gdzie łączyły się Półgórzanka i Głośna rzeka. Wtedy kupcy nie mogli jechać dalej, musieli przeczekać, aż wody opadną, bo mogli się utopić. Ponoć w dawnych czasach trakt handlowy do Polski prowadził doliną Półgórzanki aż do Przełęczy Martosza.

Dlatego koło pańskiego tartaku zbudowano nową, istniejącą do dziś, drogę z odgałęzieniem na Przełęcz Glinne.

***Komposesorat Orawski** – zarząd państwa orawskiego, majątków ziemskich i leśnych należących do potomków Turzonów*



Názvy vrchov a potokov Babej hory

Oravská Polhora bola do polovice 20. storočia len Polhorou. Svoj názov dostala podľa toho, že jej chotár siahal do polovice Babej hory, lebo vyššie položené miesta si ponechalo pre seba Oravské panstvo a hole na tých miestach prenajímalo dedinám pod Babou horou. Po čase patrila Polhora medzi najväčšie na Orave, zarastený horami a pralesmi s prastarými stromami. Až keď obyvatelia Polhory svoju obec zaľudnili natoľko, že jej hornatý a kopcovitý chotár nestačil všetkých uživiť, niektorí Polhorčania sa spod Babej hory odsťahovali a založili ďalšie dve dediny, ktoré tiež nazvali Polhorami. Vtedy dostala Polhora na Orave názov Oravská Polhora.

Vo svojom rozľahlom chotári majú Polhorčania vrchy, vršky, doliny, grúne, potoky. Dali im také názvy, akých nemajú iné dediny na Orave a možno na svete.

Miesto v horách, v doline Hlasnej rieky, kde sa nachádzalo viac jazvecov ako inde, nazvali Borsučie, lebo jazvece sa tu nazývajú aj borsuky. Dolinou Polhoranky viedol do Jalovieckeho sedla chodník, po ktorom sa pašoval tabak do Poľska, dostal preto názov Tabakový chodník. Chodník viedol miestami, na ktorých rástli len nenáročné jalovce, dostal preto pomenovanie Jalovcový a priechod do najbližšej dediny Zavoje v Poľsku dostal pomenovanie Jaloviecky priechod. Mal aj iné názvy, napríklad Tabakový.

Poľanu, na ktorej sa nachádza najsevernejší bod Slovenska, nazvali Modralová, ale dnes si už nikto nepamätá, z čoho ten názov pochádzal. Starší ľudia spomínajú, že vraj kedysi polianku užíval akýsi Modrala, ktorý sa do Polhory priženil z poľskej dediny Priborov. V strmých brehoch Polhoranky poniže Tisovnice si vyhlbili svoje nory čistotné vydry, ktoré milujú vodu. Toto územie preto nazvali Vydrovka. Svedčí to o tom, že z holí stekali čisté vody, lebo vydry žijú len tam, kde sú vody priehľadné a čistučné. Ale aj o tom, že v okolí našli dostatok potravy – rýb, žiab, vtákov, mäkkýšov.

Grúň, na ktorom rástli staré hrčaté buky, dostal názov Bukový. A miesto v doline pri Polhoranke, kde rástli iné stromy, ako boli obvyklé na Orave, nazvali Tisovnicou podľa tisov. Na kopci nad Tisovnicou rástli javory. Podľa nich sa celé hraničné pohorie, od sedla Hliny hore Beskydami až na Modralovú, nazýva Javorinou.

Vonžovec dostal názov podľa množstva hadov, na ktoré tu mohol človek natrafiť na každom kroku. V sedle Brána medzi Veľkou a Malou Babou horou pramení potôčik, ktorý z výšky bystro steká do doliny, nespomaľuje svoj tok meandrami, pričom cestou hravo prekoná aj vodopád. Pre jeho bystrý tok dostal názov Bystrá. Preteká dolinou popri Hviezdoslavovej hájovni. Práve pri tomto veselo zurčiacom potoku rád sedával Hviezdoslav a tvoril svoje najväčšie diela.

Pod Babou horou mali svoje hole okolité, ale aj vzdialenejšie dediny, ktoré si ich prenajímali od Oravského panstva. Svoje názvy dostali podľa užívateľov. Hoľa Kyseľova dostala názov podľa svojho užívateľa zo Slanice Kyseľa, ale volali ju aj Slanickou, hoľa Čiernikova podľa Čiernika zo Zubrohlavy, ale neskôr si túto hoľu prenajali Jaseničania a tak dostala novší názov Jasenická, ďalšia sa nazývala Lokčianska. A niektoré dostali názov podľa posledných známych bačov, ktorí tu

dlhšie držali svoje salaše, napríklad Ľud'movka, Kalužovka, Jurčovka a podobne. Prekrásna Kohútova dolina má názov podľa svojich prvých užívateľov Kohútovcov z Ústia. Miesto, kde zo zeme vyvierala slaná voda, dostalo priliehavý názov Slaná voda.

Zaujímavý názov má možno najkratší potôčik, stekajúci z Javoriny. Od dávnych čias ho volajú Kšenzny potok, (Kňazský potok). Tento názov má potôčik od čias, keď aj na Orave zúrila reformácia* a protireformácia.** Keď sa na Orave striedali vojská, raz kurucké, ktoré podporovali evanjelických kňazov a vyhánali katolíckych, raz labanské, ktoré podporovali katolíckych kňazov a vyhánali evanjelikov. Keď im hrozila smrť, ukrývali sa kňazi v domoch svojich veriacich, ale keď nebezpečenstvo bolo príliš veľké, zdržiavali sa na hraniciach v hustých lesoch, kde sa cítili bezpečnejšie.

Medzi náboženstvami teraz vládne pokoj, ako pamiatka na kruté časy ostal iba názov potôčika.

**reformácia – zavádzanie Lutherovo učenia,*

***protireformácia – návrat katolíckej viery. Protireformácia bola spojená s povstaniami a bojmi medzi evanjelikmi a katolikmi.*

Nazvy szczytów i potoków Babiej Góry

Do polowy XX wieku Orawska Półgóra była nazywana tylko Półgorą. Swoją nazwę wzięła stąd, że granica wsi sięgała aż do polowy Babiej Góry. Wyżej położone miejsca państwo orawskie zostawiło dla siebie, a tamtejsze hale dzierżawiło wioskom pod Babią Górą. Półgóra należała do najwyżej położonych wiosek na Orawie, a jej teren był porośnięty górami i puszcza z bardzo starymi drzewami. Dopiero, gdy mieszkańcy Półgóry zaludnili swoją miejscowość na tyle, że górzysty i pofałdowany teren nie mógł już wszystkich wyżywić, niektórzy półgórzanie wyprowadzili się spod Babiej Góry i założyli kolejne dwie wsie, które też nazwali Półgorami. Wtedy Półgóra na Orawie została nazwana Orawską Półgorą.

Na rozległym terenie tej wsi są góry, górki, doliny, wzgórza i potoki. Mieszkańcy nadali im takie nazwy, jakich nie ma w innych wsiach na Orawie, a może i na całym świecie.

Miejsce w górach, w dolinie Głośnej Rzeki, na którym mieszkało więcej borsuków niż gdzie indziej, nazwali *Borsucze* (przyp. tłumacza: tak te zwierzęta nazywają w swojej gwarze, choć po słowacku ich nazwa brzmi zupełnie inaczej: *jazvec*). Doliną Półgórzanki wiodła do Przełęczy Jałowieckiej ścieżka, którą przemycano do Polski tytoń, zwany też tabakiem, dlatego nazwano ją Tabakowym Chodnikiem.

Ścieżka prowadząca przez miejsca, na których rosły tylko niewymagające jałowce, została nazwana Jałowcowym Chodnikiem, a przełęcz, przez którą chodzono do najbliższej wsi po polskiej stronie, czyli do Zawoi, dostało nazwę Przełęcz Jałowiecka, choć nazywano je też Tabakowym Chodnikiem.



Polanę, na której znajduje się najbardziej na północ wysunięty punkt Słowacji, nazwano Mędralowa, ale dziś już nikt nie pamięta, skąd się ta nazwa wzięła. Starsi ludzie wspominają, że ponoć kiedyś z tej polany korzystał jakiś Mądrała z polskiej wsi Przyborów, którzy ożenił się i zamieszkał w Półgórze. Na stromych brzegach Półgórzanki, poniżej Cisownicy wydrążyły swoje nory wydry, które kochają wodę. Miejsce to nazwano *Wydrówka*. Świadczy to o tym, że z hal spływała czysta woda, bo wydry żyją tylko tam, gdzie woda jest przejrzysta i czyściutka, a także o tym, że w okolicy było dość pożywienia – ryb, żab, ptaków, mięczaków.

Groń, na którym rosły stare sękate buki, nazwano Bukowym. Miejsce w dolinie przy Półgórzance, gdzie rosły gdzie indziej niespotykane na Orawie cisy nazwano do nich – *Cisownica*. Na wzgórzu nad Cisownicą rosły jawory. Od nich cały grzbiet graniczny od Przełęczy Glinne nad Beskidami aż po Mędralową, nazywany został *Jaworzyną*.

Nazwa *Wężowiec* pochodzi od węży, na które mógł tu człowiek trafić na każdym kroku. Na Przełęczy Brona między Małą Babią Górą a Babią Górą ma swoje źródło potoczek, który bystro płynie w dolinę, nie spowalniając swego nurtu meandrami, a kiedy skręca w prawo bez problemu pokonuje nawet wodospad. Od tego, że jest bystry, nazwano go Bystrą. Płynie doliną koło Leśniczówki Hviezdoslava. Właśnie nad tym wesoło szemrzącym potokiem chętnie siadywał pisarz i tworzył swoje największe dzieła.

Pod Babią Górą miały hale leżące tuż pod nią i bardziej oddalone wsie, które dzierżały je od państwa orawskiego. Hale otrzymały swoje nazwy od nazwisk użytkowników. Hala Kisielowa dostała nazwę po Kisielu ze Slanicy, ale nazywano ją również Slanicą, Hala Czernikowa od Czernika z Żubrohławy, ale później dzierżawili ją mieszkańcy Jasienicy, więc jej nowsza nazwa to Hala Jasienicka, kolejna nazywała się Łokczańska. Niektóre hale zostały nazwane po ostatnich znanych bacach, którzy dłużej tu wypasali swoje owce, na przykład Ludmówka, Kałużówka, Jurczówka i podobnie. Przepiękna Kogutowa Dolina wzięła swoją nazwę od swoich pierwszych użytkowników Kogutów z Ustia. Podobnie miejsce, skąd wytryskiwała słona woda otrzymało odpowiednią nazwę, czyli Słona Woda.

Ciekawą nazwę ma chyba najkrótszy potoczek, spływający z Jaworzyny. Od niepamiętnych czasów nazywany jest Księżym Potokiem. Taką nazwę ma on od czasów, kiedy również na Orawie trwały wojny religijne i ścierały się ze sobą reformacja* i kontrreformacja**. Wtedy pojawiały się na Orawie co rusz to inne wojska, raz kuruckie, które wspierały ewangelickich księży i wypędzaly katolickich, raz labanskie, które wspierały katolickich księży, a wypędzaly ewangelików. Księża, gdy groziła im śmierć, ukrywali się w domach swoich wiernych, ale jeśli niebezpieczeństwo było zbyt duże, chowali się w pobliżu granicy, w gęstych lasach, w których czuli się bezpiecznie.

Teraz panuje pokój między wyznaniem, a jako wspomnienie tamtych okrutnych czasów została tylko nazwa potoczku.

* *reformacja* – ruchy religijne wywodzące się z nauki Lutra

** *kontrreformacja* – przywracania wyznania katolickiego, co łączyło się z walkami pomiędzy ewangelikami a katolikami.

Tomek

Keď som bola malá, rodičia si občas spomenuli na Tomka, čo patrilo do našej rodiny. Ale vždy, keď na Tomka prišla reč, poslali nás rodičia preč, akoby sa báli pred nami o ňom hovoriť. Bola taká doba, každý sa bál, že niekto cudzí počuje čo nemá, alebo že my deti vyzradíme, o čom sa rodičia zhovávajú. A v prípade Tomka, ako som neskôr zistila, naozaj išlo o nebezpečné veci.

Tomkovi sa šťastie od mala vyhýbalo. Mama mu zomrela, keď bol ešte len chlapec, otca si nikdy nepoznal. Jeho matka bola veľmi pracovitá, ale chudobná a navyše telesne postihnutá, mala čosi s rukou. Slúžila u bohatšieho gazdu a keď sa jej pod srdcom ozvalo dieťa, chlapcov otec ju zanechal v jej položení samotnú. Ťažko jej bolo, keď sa chlapec narodil. Musela znášať nielen to, že bola kalika, ale navyše bola ešte aj „prespanka“. To sa v dedine pod Babou horou neodpúšťalo. Nikto sa jej neponáhľal pomáhať, iba bratovi sa sestry občas ulútostilo a keď mohol, pomohol. Nuž niet divu, že mama Tomkovi zomrela, keď bol ešte len dieťa a najviac zo všetkého potreboval matku.

Keď sa matka pominula, jej brat so ženou sa Tomka ujali a vychovávali ho ako vlastného syna. Ujovi Pán Boh požehnal len jedného syna, no keď vyrástol, zabilo im ho v lese. Ujali sa potom malého Tomka. Chlapec rástol ako iné deti v Polhore. Vychodil školu a zamestnal sa ako iní mládenci v lese pri stínaní a zväžaní dreva. Vyrástol z neho mládenec mocný a rúči, rovný ako jedľa. Našiel si aj dievča a mienil sa v krátkom čase oženiť. Lenže nežičlivý osud, ktorý mu odmala bral to najlepšie, čo mal, aj teraz mu nachystal nečakanú a najhoršiu ranu.

Do Polhory prikvitol spoza hranice akýsi prišelec, volali ho Mroviec. Len Pán Boh a on sám vie, či to bolo jeho pravé meno a či bol spravodlivý človek alebo len nejaký potmehúd. Po večeroch v krčme, kde sa po robote schádzali chlapi, si Mroviec prisadol raz k jednému, raz k druhému a viedol s nimi čudné reči. Tomek sa o politiku nikdy nestaral, po rozume mu chodila ženba. Rád by sa bol oženil, chodil za najkrajšou dievčinou z celej Polhory. Preto reči Mrovca o nových pánoch odkiaľsi z Ameriky púšťal jedným uchom dnu a druhým von. Nemal toho prišelca rád, pretože mu zobral nové topánky, čo si len nedávno bol kúpil za ťažko zarobené peniaze. Chystal si ich na sobáš. Ale nie každý bral Mrovcové slová na ľahkú váhu. A keď ten zrazu zmizol za hranice a povrávalo sa, že ušiel do Ameriky, nastalo v Polhore veľké vyšetrovanie. S kým sa najviac stýkal, s kým sa kamarátil, čo spolu robili, o čom sa zhovárali, čo spolu pripravovali.

Tomek si ďalej žil svoj bezstarostný mládenecký život a vôbec netušil, čo sa okolo neho deje. V tom čase ešte nikto nevedel, čo sa v Polhore chystá. No, možno niektorí aj vedeli, hlavne tí, čo ich vyšetrovala štátna bezpečnosť*, ale tí zo strachu radšej mlčali. Našiel sa však ktosi, čo nemlčal a vyzradil, kto sa s Mrovcom v krčme



stýkal. V tom čase sa po dedine potlkali všelijakí ľudia, udavači, čo striehli na to, či niekto nepovie čo len jedno slovo proti štátu. Vyšlo najavo, že mu Tomek dal svoje nové topánky, že Tomkov kamarát mu dal jesť, dvoch ďalších obvinili, že s ním často sedávali a viedli protištátne reči.

Tomek práve sedel u svojej krásnej frajerky, keď ho zobrali. Netušil o čo ide, myslel si, že iste ide len o nejaký omyl a veril, že sa ku svojej dievčine určite zakrátko vráti. Vtedy ešte nevedel, že všetko bude inak, že ani svoju milú, ani svoju rodnú dedinu, ani Babiú horu už nikdy neuvidí. Ani to nevedel, že nebol sám, že spolu s ním zobrali ďalších troch chlapov z Polhory.

Rodičia doma pred deťmi o nešťastnom Tomkovi nikdy nehovorili, deti iba úchytom niečo zachytili, kým ich neposlali preč. Iba od babiek sa neskôr mladší ľudia dozvedeli, čo sa o Tomkovi po dedine šírilo. Vraj ho v tom väzení strašne týrali, aby sa priznal, že pripravoval úklady proti štátu. Ale k čomu sa mal priznať? Zdá sa, že sa nikdy k ničomu nepriznal, ani jeho priatelia, lebo po ôsmich rokoch sa dočkali rehabilitácií. Tí traja sa vrátili domov, ale bez Tomka. Tomek, ktorý vo väzení prežil najhoršie roky svojho mladého života, už nebol medzi živými. Jemu rehabilitácia už nepomohla.

Nikto presne nevedel, ako zišiel zo sveta. Jedni tvrdili, že nevydržal strašné mučenie, keď mu za nechty pichali ihly, aby z neho vynútili priznanie a sám zo zúfalstva ukončil svoj mladý život. Iní rozprávali, že Tomek ako väzeň robil v Jáchymove v uránových baniach a tam sa medzi sebou viacerí pobili. Tomka zabili a hodili ho do šachty.

Isté je len to, že o život prišiel nevinný mladý človek. Kto zaviniť jeho strašný koniec a jeho smrť, sa dodnes nezistilo.

**Štátna bezpečnosť – neslávne známa pod skratkou ŠTB v Československu. V päťdesiatych rokoch 20. storočia mal štát rozvetvenú sieť donášačov, ktorí sledovali svojich spoluobčanov aj v dedinách a udávali ich, ak sa napríklad vyjadrovali proti štátu, ak nadávali na štátne zriadenie. Niekedy stačilo iba podozrenie z protištátnej činnosti a človek sa dostal do rúk polície, súdov a neraz skončil vo väzení. Ak si chcel skrátiť trest, mohol nastúpiť do uránových baní, alebo sa zaviazal na odpracovanie mnoho rokov v uhoľných baniach.*

Tomek

Kiedy byłam małą, rodzice czasami wspominali Tomka, który był naszym krewnym. Zawsze jednak, kiedy była mowa o Tomku, kazali nam wychodzić, jakby nie mieli odwagi przy nas o nim mówić. Były takie czasy, że każdy bał się, że ktoś obcy usłyszy coś, czego nie powinien albo, że my, dzieci, wypaplamy, o czym rodzice rozmawiają. Jeśli chodzi o Tomka, to później dowiedziałam się, że chodziło o naprawdę niebezpieczne sprawy.

Tomek od początku nie miał w życiu szczęścia. Mama mu umarła, gdy był jeszcze małym chłopcem, ojca nigdy nie poznał. Jego matka była bardzo pracowita, ale biedna i w dodatku miała niesprawną rękę. Służyła u bogatego gospodarza,

a kiedy pod jej sercem pojawiło się dziecko, jego ojciec dziecka zostawił ją z tym samą. Gdy chłopiec się urodził, było jej ciężko. Musiała znosić nie tylko biedę, ale jeszcze wytykanie palcami, że jest panną z dzieckiem. Tego we wsi pod Babią Górą nie wybaczano. Nikt się nie kwapił, by jej pomóc, tylko bratu czasami zrobiło się żal siostry i kiedy mógł, to pomagał. Nic dziwnego, że mama Tomka zmarła z tych zgryzot, gdy był jeszcze dzieckiem i najbardziej ze wszystkiego właśnie jej potrzebował.

Gdy zabrakło matki, jej brat z żoną wzięli Tomka do siebie i wychowali jak własnego syna. Wujostwu Tomka Pan Bóg dał tylko jednego syna, ale gdy ten dorósł zabiło go w lesie. Zajęli się więc małym Tomkiem. Chłopiec rósł jak inne dzieci w Półgórze. Skończył szkołę i tak, jak inni młodzi chłopcy zatrudnił się w lesie przy ścinie i zwózce drewna. Wyrósł z niego młodzieniec silny i rostry, prosty jak sosna. Znalazł sobie dziewczynę i chciał się niedługo żenić. Niestety, nieżyczliwy los, który od małego zabierał mu to, co najlepsze, teraz też szykował się, by zadać mu nieoczekiwany i najsilniejszy cios.

Do Półgóry przywłókł się zza granicy jakiś obcy, nazywali go Mrowiec. Bóg tyko wie, czy było to jego prawdziwe nazwisko i czy był to uczciwy człowiek, czy też jakiś fałszywiec. Wieczorami w karczmie, gdzie schodzili się chłopcy po robocie, Mrowiec przysiadł się raz do jednego, raz do drugiego i prowadził z nimi dziwne rozmowy. Tomek nigdy nie zajmował się polityką, w głowie mu była tylko żeniaczka. Chciał się ożenić, chodził z najładniejszą dziewczyną w całej Półgórze. Dlatego opowieści Mrowca o nowych panach, skądś z Ameryki jednym uchem wpuszczał, a drugim wypuszczał. Nie lubił tego przybłądy, bo mu zabrał nowe buty, które sobie niedawno kupił za ciężko zarobione pieniądze i miał je mieć do ślubu. Nie każdy jednak brał tak lekko słowa Mrowca. Gdy ten nagle zniknął za granicą i mówiono, że uciekł do Ameryki, zaczęło się w Półgórze wielkie śledztwo. Z kim się najczęściej spotykał, z kim się przyjaźnił, co razem robili, o czym rozmawiali, co razem przygotowywali.

Tomek żył dalej swoim beztroskim kawalerskim życiem i w ogóle nie przeczuwał, że wokół niego coś się dzieje. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co szykuje się Półgórze. No, może niektórzy coś tam wiedzieli, głównie ci, których przesłuchiwał Urząd Bezpieczeństwa*, ale ze strachu raczej milczeli. Znalazł się jednak ktoś taki, kto nie milczał i zdradził, kto spotykał się z Mrowcem w karczmie. Wtedy włączyli się po wsi różni ludzie, donosiciele, którzy nasłuchiwali czy ktoś nie powiedział bodaj jednego słowa przeciwko państwu. Wyszło na jaw, że Tomek oddał mu swoje nowe buty, że Tomka kolega dał mu jeść, dwóch kolejnych oskarżono o to, że często z nim przesiadywali i prowadzili antypaństwowe rozmowy.

Tomek właśnie siedział u swojej pięknej dziewczyny, kiedy go zabrali. Nie miał pojęcia o co chodzi, był przekonany, że to na pewno jakaś pomyłka i wierzył, że szybko wróci do swojej łubej. Wtedy jeszcze nie wiedział, że wszystko będzie inaczej, że ani swojej miłej, ani rodzinnej wsi, ani Babiej Góry już nigdy nie zobaczy. Nie wiedział nawet, że nie tylko jego zabrali, ale że razem z nim aresztowano trzech innych mężczyzn z Półgóry.



Rodzice w domu nie rozmawiali nigdy przy dzieciach nigdy o nieszczęsnym Tomku. Dzieci tylko ukradkiem coś podsłuchały, gdy zapomniano kazać im wyjść. Jedynie z plotek, które krążyły po wsi młodzi ludzie dowiedzieli się czegoś o Tomku. Podobno w tym więzieniu był strasznie torturowany, żeby przyznał się, że przygotowywał spisek antypaństwowy. Ale do czego miał się przyznać? Chyba nigdy do niczego nie przyznał się ani on, ani jego przyjaciele, bo po ośmiu latach doczekali się rehabilitacji. Ci trzej wrócili do domu, ale bez Tomka. Tomka, który przeżył w więzieniu najgorsze lata swojego krótkiego życia, już nie było między żywymi. Jemu rehabilitacja już nie pomogła.

Nikt dokładnie nie wiedział, jak odszedł z tego świata. Jedni twierdzili, że nie wytrzymał strasznych tortur, podczas których wbijano mu igły pod paznokcie, by wymusić przyznanie się do winy i sam z rozpaczy zakończył swoje młode życie. Inni mówili, że Tomek jako więzień pracował w Jachymowie w kopalni uranu, a tam pobiło się kilku więźniów między sobą. Tomka przy tym zabili i wrzucili do szybu.

Pewne jest tylko to, że stracił życie niewinny młody człowiek. Kto był winien jego strasznego końca i jego śmierci nie wiadomo.

**Urząd Bezpieczeństwa (w Czechosłowacji Štátna bezpečnosť) miał w 50. latach XX wieku rozwiniętą siatkę donosicieli, którzy śledzili swoich współobywateli nawet na wsiach i donosili, co na przykład mówili na temat państwa i ustroju. Czasami wystarczało jedynie podejrzenie o działalność antypaństwową, by człowiek dostał się w ręce milicji, sądów i często skończył w więzieniu. Jeśli chciał skrócić swoją karę mógł zgłosić się do pracy w kopalniach uranu lub zobowiązać się do wieloletniej pracy w kopalniach węgla.*

Kúpele

Dnes už málokto vie, že kedysi v dedinách okolo Námestova prekvitalo plátenníctvo. Plátenníci roznášali po svete plátno, ktoré dorobili usilovné rodiny spod Babej hory. V tom čase sa dobre darilo nielen plátenníkom, ale aj ostatným, ktorí siali ľan, vedeli tkat' krásne jemné plátno, pri potokoch, v ktorých spod Babej hory vytekala vodička čistá ako slza, na slniečku ho pekne vybieliť. V každej dedine boli tkáči, ktorí predávali svoje plátno plátenníkom na trhoch v Námestove. Ba niekedy si plátenníci prišli do dediny „štel'ovať plátno“, čo znamenalo, že si priamo od tkáčov vyberali to najkrajšie a najbelšie plátno.

Niet divu, že ľan si hornooravci nazývali svojím oravským zlatom. Veď všetkým prinášal obživu, nielen tým, ktorí vedeli plátno predat'. V jednej dedine vedeli vypestovať krásny vysoký ľan, napriat' tenučké nite a natkať plátno, v druhej z ľanových hlávok vylisovať kvalitný ľanový olej, v tretej zhotoviť pevné vozy, ktoré museli vydržať dlhú cestu. Plátenníci rozvážajúci hornooravské plátno prebrádzili na oravských vozoch takmer celú Európu, ba zašli až do Istanbulu. A drevo z ktorého hornooravci tie pevné vozy vedeli zhotoviť, rástlo práve tu, pod Babou horou.

S pestovaním a spracovaním ľanu súviseli aj niektoré zvyky. Počas „ňesopustu“, ako si Polhorčania nazývali fašiangy, sa usporadúvali muziky. Keby ste

prišli na fašiangovú muziku do Polhory, isto by ste sa veľmi čudovali. Videli by ste ženy a dievky pri neobyčajnom tanci. Vyskakovali dovysoka, aby im narástol vysoký ľan. Staršie ženy sa zas stretli v jednom dome, kde spolu popíjali, hajdukovali a vysoko vyskakovali „na vysoký ľan“. Keď skončili fašiangy a nastali pôstne dni, Polhorčania sa svedomito postili. Nemastili bravčovou masťou, ale na varenie pôstnych jedál používali ľanový olej. A domáci chlieb namočený do ľanového oleja bola v tom čase veľká pochúťka.

Polhorčanom priniesol ľan aj kúpele. To bolo tak - od čias, keď na územie Polhory prišli prví obyvatelia, vedelo sa o slaných prameňoch, vyvierajúcich v jednej doline. Vedeli o nich ľudia, ktorí slanú vodu využívali pre vlastné potreby. Zakrátko sa o nich dozvedela aj kráľovská soľná komora a keď sa pánmi na Orave stali Turzovci, vedeli o slaných prameňoch aj oni. Ibaže nikto nemal toľko rozumu, ani toľko peňazí, aby slanú vodu dokázal aj nejakou využiť. Dlhé roky slaná voda len tak bez úžitku odtekala z hornej Oravy, vlievala sa do Bielej Oravy a potom cez Váh a Dunaj do mora.

Až keď plátennícka rodina Skičákovcov z Klina zbohatla z plátenníctva natoľko, že mala vlastnú banku, rozhodol sa jeden z nich použiť vlastný kapitál na vybudovanie kúpeľov. Ferko Skičák odkúpil pozemky so slanými prameňmi od starostu Polhory a zakrátko v krásnej doline pod Babou horou postavil kúpele. Nielen kúpele, ale vybudoval k nim aj pevnú cestu z Polhory. Kúpele sa zakrátko stali známe a využívané panskými rodinami v okolí, ba traduje sa, že sa tu liečil aj vodca svetového proletariátu Vladimír Iljič Lenin. Jódobromová voda liečila astmu, kožné choroby a rôzne iné neduhy. K úspešnej liečbe prispieval aj čerstvý vzduch, pokojné prostredie a prechádzky po okolí.

Z kúpeľov mali úžitok aj dediny na okolí. Našlo v nich zamestnanie niekoľko ľudí z okolia, gazdovia im predávali zemiaky, mlieko, maslo a zeleninu, mlynári múku, salaše poskytovali dostatok syra a žinčice. Hostia prichádzali aj do dedín a priamo tu si kupovali gazdovské pochúťky. Ferko Skičák dal od kúpeľov k hájovni pod Babou horou vybudovať cestu pre kúpeľných hostí, ktorú využívali na kratšie prechádzky okolo salaša. Cesta vraj bola hladká ako v meste, lemovaná prastarými majestátnymi stromami a rád ju využíval aj slovenský básnik Pavol Országh-Hviezdoslav. Preto ju neskôr aj nazvali podľa neho Hviezdoslavovou alejou.

Čarovné prostredie kúpeľov pod Babou horou bolo ešte krajšie v zime, keď sa horskými cestami cez hlboké lesy ozývali cengalky koní zapriahnutých do saní, na ktorých sa prevážali hostia, odetí do huňatých medvedích kožušín.

Tejto idylke však raz nastal koniec. Vypukla veľká vojna, do ktorej narukovali aj otcovia a synovia rodín spod Babej hory. Mnohí stratili svoj život na bojiskách a tí, ktorí prežili, po návrate našli svoje rodiny zbedačené, polia bez chlupskej ruky upadnuté. Odvyknutí od ťažkej roboty, nútení celé roky ničť a zabíjať, trávili prvé dni po návrate v krčmách. Rabovali, brali čo im prišlo pod ruku, ničili majetok tých, ktorých považovali vinných za svoj zbabraný život.

V tejto atmosfére hnevu, bezradnosti a beznádeje sa obrátili aj proti kúpeľom. Stačila malá isierka, ktorá vyprovokovala zdivených chlapov k neuváženým činom. Rozbíjali a ničili všetko, čo im prišlo pod ruku.

Od tých čias prešlo už sto rokov, ale úžasné dielo spod Babej hory, polhorské kúpele s jedinečnou slanou vodou, sa doposiaľ nepodarilo obnoviť.

*Poznámka: **soľná komora**- cisársko-kráľovský úrad, ktorý spravoval hospodárenie so soľou. Okrem soľnej komory bola v Rakúsko-Uhorsku aj banská komora, pod ktorú patrili bane*

Uzdrowisko

Dziś już mało kto wie, że kiedyś we wsiach leżących koło Namiestowa kwitło płóciennictwo. Płóciennicy rozwozili po świecie płótno, które tkwały pracowite rodziny spod Babej Góry. W tamtych czasach płóciennikom wiodło się całkiem dobrze, a także tym, którzy siali len i umieli tkać ładne delikatne płótno i pięknie je wybielić na słoneczku nad potokami, którymi płynęła spod Babej Góry woda czyściutka jak łza. W każdej wsi byli tkacze, którzy sprzedawali swoje płótno płóciennikom na targach w Namiestowie. Czasami nawet płóciennicy sami przyjeżdżali do wsi „obstałować płótno”, czyli wybierali bezpośrednio u tkaczy te najładniejsze i najbielsze materiały.

Nic dziwnego, że mieszkańcy Górnej Orawy nazywali len swoim orawskim złotem. Przecież wszystkim dawał utrzymanie, nie tylko tym, którzy umieli płótno sprzedać. W jednej wiosce umiano wyhodować piękny wysoki len, uprząść cieniuteńkie nici i utkać płótno; w drugiej - z główek lnu tłoczono dobry olej lniany, w trzeciej - robiono mocne wozy, które musiały wytrzymać długą drogę. Płóciennicy rozwijający górnoorawskie płótno zjeżdżali orawskimi wozami niemal całą Europę, ba, zajechali nawet do Istambułu. Drewno, z którego robiono te wozy na Górnej Orawie rosło właśnie tu, pod Babią Górą.

Z uprawą i obróbką lnu związane były niektóre zwyczaje. Podczas „ńesopustu“, jak półgórzanie nazywali karnawał, organizowano zabawy. Gdybyście przyszli na karnawałową zabawę do Półgóry, to na pewno byście się bardzo zdziwili. Zobaczylibyście kobiety i dziewczyny w niezwykłym tańcu, podskakujące wysoko, żeby im urósł wysoki len. Starsze kobiety natomiast spotykały się w jednym z domów, gdzie wspólnie popijały, bawiły się i wysoko podskakiwały „na wysoki len”. Kiedy kończył się karnawał i zaczynały się postne dni półgórzanie naprawdę pościli. Nie jadali wieprzowego smalcu jako omasty, ale do gotowania postnych potraw używali oleju lnianego. Domowy chleb maczany w tym oleju lnianym był w owym czasie wielkim przysmakiem.

Półgórzanom len dał również uzdrowisko. Było to tak: o słonych źródłach, które tryskały w jednej z dolin wiedzano od czasów, gdy w Półgórzu pojawili się pierwsi mieszkańcy. Ludzie, którzy o nich ludzie wiedzieli, używali słonej wody do własnych potrzeb. Wkrótce dowiedziała się o nich też królewska komora solna, a kiedy panami na Orawie zostali Turzonowie, to o słonych źródłach dowiedzieli się

także oni. Tylko nikt, niestety, nie miał tyle rozumu, ani tylu pieniędzy, by tę słoną wodę jakoś wykorzystać. Przez długie bezużytecznie spływała, więc z Górnej Orawy do Białej Orawy, a potem Wagiem i Dunajem płynęła do morza.

Dopiero gdy rodzina Skičáków z Klina wzbogaciła się na płóciennictwie na tyle, że miała własny bank, jeden z jej członków postanowił z własnych pieniędzy zbudować uzdrowisko. Ferko Skičák odkupił działki ze słonymi źródłami od wójta Półgóry i niedługo potem w pięknej dolinie pod Babią Górą zbudował nie tylko uzdrowisko, ale również prowadzącą do niego utwardzaną drogę z Półgóry. Kurort stał się wkrótce znany i odwiedzany przez bogate rodziny z okolicy, krążyły nawet pogłoski o tym, że leczył się tu sam przywódca światowego proletariatu Włodzimierz Iljicz Lenin. Jodowo-bromowa solanka leczyła astmę, choroby skóry i różne inne przypadłości. Kuracje były tym bardziej skuteczne, że było tu też świeże powietrze i spokojna okolica, po której można było się przechadzać.

Uzdrowisko stało się źródłem utrzymania także dla pobliskich wiosek. Dawało ono pracę ich mieszkańcom. Gospodarze sprzedawali ziemniaki, mleko, masło i jarzyny, młynarze mąkę, pasterze ser i żętycę, potrzebne do wyżywienia gości. Kuracjusze chodzili na spacer do wsi i tam na miejscu kupowali lokalne przysmaki. Ferko Skičák zlecił zbudowanie drogi, która prowadziła z uzdrowiska do leśniczówki pod Babią Górą, a przyjezdni korzystali z niej chodząc na krótsze spacer do miejsca, gdzie wypasano owca. Droga była podobno równa jak w mieście, obsadzona po bokach prastarymi majestatycznymi drzewami i chętnie przechadzał się nią słowacki poeta Pavol Országh – Hviezdoslav. Stąd później nazwano ją Aleją Hviezdoslava.

Malownicze otoczenie uzdrowiska pod Babią Górą było jeszcze piękniejsze zimą, gdy na górskich drogach wiodących przez nieprzebyte lasy słychać było dzwoneczki koni zaprzęgniętych do sań, którymi wieziono gości, opatulonych włochatymi niedźwiedzimi skórami.

Idylla jednak nagle się skończyła. Wybuchła Wielka Wojna, na której walczyli ojcowie i synowie rodzin spod Babiej Góry. Wielu straciło życie na polach walki, a ci, którzy przeżyli zostali po powrocie swoje rodziny zbiedniałe, a pola - pozbawione męskiej ręki - zaniedbane. Odwykli od ciężkiej pracy, zmuszeni przez całe lata niszczyć i zabijać, pierwsze dni po powrocie spędzali w karczmach. Rabowali, brali, co im wpadło w ręce, niszczyli dobytek tych, których uważali za winnych ich zmarnowanego życia.

W tej atmosferze gniewu, bezradności i beznadziei zniszczyli też uzdrowisko. Wystarczyła mała iskierka, która pociągnęła zdziwiałych mężczyzn do nierozważnych czynów. Rozbijali i niszczyli wszystko, co się im nawinęło pod rękę.

Od tego czasu minęło już sto lat, ale półgórskiego uzdrowiska z wyjątkową słoną wodą, położonego w pięknym zakątku u stóp Babiej Góry, nie udało się dotychczas odbudować.

Królewska komora solna to urząd, którzy zarządzał gospodarką solą w monarchii Austro-Węgierskiej. Poza komorą solną istniała także komora górnicza, która zarządzała kopalniami.

Informátori

Žofia a Jozefa Sordyl z Korbieľova, Mária Majerčíková rod. Padušňáková z Mútneho, Eva Kurjaková rod. Pjenčáková zo Zubrohlavy, Terézia Pjenčáková z Rabče, Ivan Matis z Oravskej Polhory, Emil Slovík z Rabčíc, Margita Barnášová rod. Čul'ová, Margita Pitáková rod. Štefaňáková, Margita Kuráková rod. Zboroňová, Jolana Pindjaková rod. Galčíková

Informatorzy

Zofia i Józefa Sordyl z Korbielowa, Mária Majerčíková z domu Padušňáková z Mutnego, Eva Kurjaková z domu Pjenčáková z Żubrohlawy, Terézia Pjenčáková z Rabczy, Ivan Matis z Orawskiej Półgóry, Emil Slovík z Rabczyc, Margita Barnášová z domu Čul'ová, Margita Pitáková z domu Štefaňáková, Margita Kuráková z domu Zboroňová, Jolana Pindjaková z domu Galčíková

Ilustrácie / ilustracje

Wiktoria Spyrka, Zawoja

- 2 Dianka Brišáková, Oravská Polhora
- 5 Juraj Rusnák, Oravská Polhora
- 6 Kvetoslava Jaššáková, Oravská Polhora
- 8 Tamarka Tarčáková, Oravská Polhora
- 15 Natálka Kormanová, Oravská Polhora
- 18 Sabína Iskerková, Oravská Polhora
- 21 Miro Nevedel, Oravská Polhora
- 27 Dianka Brišáková, Oravská Polhora
- 33 Ema Pindjaková, Oravská Polhora
- 37 Tamarka Tarčáková, Oravská Polhora
- 39 Ema Pindjaková, Oravská Polhora
- 41 Vaneska Pitáková, Oravská Polhora
- 49 Šimon Marlenga, Oravská Polhora
- 52 Kristína Motyková, Oravská Polhora
- 58 Tobias Kubajlak, Oravská Polhora
- 64 Ema Floreková, Oravská Polhora
- 66 Katazyna Kozina, Zawoja
- 70 Juraj Rusnák, Oravská Polhora
- 73 Kvetoslava Jaššáková, Oravská Polhora
- 76 Danko Vorčák, Oravská Polhora
- 79 Marek Budzeľ, Oravská Polhora

Eva Kurjaková



V rokoch 1994-2002 starostka obce Zubrohlava, spoluza-
kladateľka združenia obcí „Združenie Babia hora“ bola jeho prvou
predsedníčkou, v roku 2004 založila „Občianske združenie ZUBOR“
v Zubrohlave, v súčasnosti na dôchodku. Od roku 1978 – 2016
kronikárka obce Zubrohlava. Bola autorkou vlastivednej monografie
obce „Zubrohlava“ (Dolný Kubín 1998), „História farnosti
Zubrohlava“ (Vek 2000), autorsky spolupracovala na tvorbe
monografií obcí „Bobrov“ (Námestovo 2000), „Zákamenné“ (Námestovo 2005),
„Rabčice“ (Námestovo 2006), „Slanica Srdcia pod vodou 1564 - 1953“ (B print
2016), na turistickom sprievodcovi okresu Námestovo s názvom „Vitajte v kraji
na severe Biela Orava“ (Námestovo 2004), a na poľsko- slovenskom náučnom
turistickom sprievodcovi Bielou a Čiernou Oravou s názvom „Cestami, necestami
a chodníkami Oravy“ (Námestovo 2007).

Kratšími prácami prispievala do Tomov Stowarzyszenia gmin Babiogórskich
v Zawoji v rokoch 2001 – 2005 a do regionálnej tlače. Bola autorkou a spolu-
pracovala na viacerých cezhraničných projektoch.

Po odchode do dôchodku pokračovala v zbieraní ľudovej slovesnosti, povestí
a príbehov zo života v dedinách pod Babou horou. Vyšli ako dialektický „Slovník
obce Zubrohlava a okolitých plátenníckych obcí“ (Námestovo 2007), „Povesti spod
Babej hory“ (Námestovo 2008), „Povesti spod Pilska“ (Námestovo 2010), „Povesti
a Prihody Bielej Oravy“ (Námestovo 2013). Vyše storočnej tradícii ochotníckeho
divadla v Zubrohlave venovala publikáciu „Viac ako sto“ (Námestovo 2015).

Dlhodobu sa venovala výskumu fenoménu horooravského plátenníctva.
Svoje poznatky uverejnila v publikácii o vzniku plátna, plátenníctva a modrotlače
„S modrotlačou do sveta“ (Námestovo 2016), ktorá získala mimoriadnu cenu v
celoslovenskej súťaži Slovenská kronika 2018 za prínos k výskumu tradičnej
ľudovej kultúry.

LEGENDY BABEJ HORY / Legendy spod Babiej Góry

Autorka/autor Eva Kurjaková

Preložil/tłumaczenie Jakub Zapotoka

Zodpovedná redaktorka/redaktor Ing. Eva Borovjácová

Ilustrovali žiaci/ilustrowane przez uczniów ZŠ s MŠ Oravská Polhora a SP Zawoja Centrum

Grafická úprava/układ graficzny Mgr. Lenka Fukasová

Vydala/wydawcy Obec Oravská Polhora

Názov projektu/nazwa projektu Tajemnice Babiej Góry / Tajomstvá Babej hory

Kód projektu/kod projektu INT/EB/BES/1/II/B/0105

Tlač/druk Tlačiareň Kubík s.r.o. Námestovo

Rok vydania/rok wydania 2019

1. vydanie, 1500ks/1. edycja, 1500egz

ISBN 978-80-570-0932-0



ORAVSKÁ POLHORA

ZAUVOJA

Tajomstvá Babej hory / Tajemnice Babiej Góry

INT/EB/BES/I/II/B/DIO5

